Witamy Zjazd członków Oddziału Wiejskiego Z.Z.L.P. Cena 5 Zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK II. Łódź, dnia 14 października 1945 r. Nr 12 (19)

JAN ALEKSANDER KRÓL

O POEZJI CHŁOPSKIEJ

Część 1-sza.—Przeciw łzawej tradycji

Jest rok 1945. W dziedzinie życia literackiego może on stać się i powinien datą historyczną. Pojawił się w tym roku termin „pisarz chłopski", co uważamy za zdobycz demokratyczną.

Tym, którzy używają określenia „pisarz" bez przymiotnika, wystarcza krzątliwa rejestracja literatów ze względu na poziom artystyczny ich utworów.

Dla nas, którzy używamy określenia „pisarz chłopski", sprawa **narodowego** pisarstwa nie kończy się na rejestracji i zarangowaniu. Pierwsze bowiem stanowisko pozostawia fakt pojawiania się literatów samemu życiu. Ilu, dlaczego, skąd, z jakiej tradycji wychodzą, to są sprawy, nad którymi zwolennicy pierwszego stanowiska **nie panują.** Oni tylko rejestrują „gotowych" poziomem.

A czasy są takie, które przynoszą podobno wyzwolenie polityczne i gospodarcze warstwie chłopskiej. I demokratyzacja narodu zmierzać ma do wypełnienia treści tego życia przodującym udziałem klas pracujących. Znaczy to, że poza funkcjami, jakie dotąd klasy te pełniły, z ich mas mają wyjść świadomi potrzeb środowiskowych organizatorzy i twórcy polityki, gospodarki i kultury nowej Polski.

Jakże tedy ma być dla nas obojętna sprawa nie **przywileju,** ale **obowiązku** wprowadzenia w życie literackie narodu talentów chłopskich. Gdyby badania socjologiczne pokazały w przyszłych latach, że w dalszym ciągu luminarzami literatury polskiej są pogrobowcy ziemiaństwa i inteligencja miejska, i że ilościowo przytłaczająca większość z tych się rekrutuje środowisk — do smutnych musielibyśmy wówczas dojść wniosków, albo co do sensowności samej idei demokracji, albo co do jej urzeczywistniania się.

Czytamy hasła wzywające robotników do wzmożenia produkcji fabrycznej, chłopów do pełnego obsiewu, uważamy, że wcale na czasie jest wezwanie chłopców i do literackiej twórczości, bo obecne przemiany w Polsce polegają nie tylko na zluzowaniu politycznym i gospodarczym ziemiaństwa, ale również i — co najtrudniejsze — na zluzowaniu kulturalnym.

Kiedy przed wojną Francja liczyła 40 akademików, u nas było ich czternastu. Wyzwolenie sił twórczych największej klasy postawić nas dzisiaj może i powinno nie przed tradycyjnym procesem przenikania do oficjalnej literatury jednostek, jak to było od czasów Kasprowicza i Orkana, ale przed „najściem" — (koniecznym o demokracjo!) — całych zastępów pisarzy chłopskich.

Dlatego, kiedy my mówimy „pisarz chłopski" — myślimy wówczas: jakich potrzeba sprzyjających warunków społecznych, aby w Polsce demokratycznej dostarczyć twórców literackiej produkcji z upośledzonych dotąd mas?

Boryka się wieś z nędzą, z brakiem oświaty elementarnej, z brakiem ośrodków kulturalnych, z niemożnością korzystania ze studiów wyższych, z brakiem bibliotek i życia literackiego (tu są przestrzenie, przestrzenie.... które dzielą) i wreszcie ze złymi i spóźnionymi tradycjami literackimi, co jak dotychczas jedynym jest spadkiem po mieście i dworze i jedynym ich śladem wkładu w rozwój pisarstwa chłopów.

***

Nad sprawą tradycji literackich, w jakich współcześni poeci chłopscy wzrastają, chcemy się w tym szkicu dłużej nieco zatrzymać.

Z grubsza biorąc jest ich trzy. Mamy tu na myśli wyłącznie te, które pochodzą z „narodowego repertuaru" klas wykształconych.

Pierwsza, wtarła się w wieś i za ludową niemal uchodzi; jest to poezja **Konopnickiej, Lenartowicza i Kasprowicza.**

Druga — zwykle przyswajana w czasie gimnazjalnej edukacji — **klasyczna-ziemiańska.**

Trzecia — u literatów-chłopów będących na studiach wyższych albo wplątanych w wielkomiejskie centra życia literackiego — **awangardowa.**

***

Kiedy Maria Konopnicka stawała „na progu nowej epoki", chłop który też na tym progu stanął, był to chłop wyjątkowy... jakiś Maciej Szarek. Sytuacja osobliwa: pisarz chłopski, który nie śmie jeszcze siąść przy stole szlacheckiego pisarza filantropa. Odczytujemy tę sytuację z pamiętnika Szarka. Jakże ten dystans rozczula — nie nas, dziś — ale wówczas tych, którzy chcieli go filantropijnie zmniejszyć.

„Otwórzcie wasze ramiona: to my — was szukamy,
Bośmy może *biedniejsi... ach! i bardziej smutni!*

Trzeba to powiedzieć wyraźnie: od Konopnickiej po Kasprowicza wieś staje się udanym medium, przez które wylewają się „tristia noctis taciturnae"*) formującej się klasy inteligenckiej.

Najpierw są to szlachcice „wysadzeni z siodła", którzy na bruku miejskim po nieudanej rewolucji inteligenckiej, jak w Powstaniu Listopadowym, (literaci-jakobini: Godebski, Goszczyński, Lelewel, Mochnacki) uświadamiają sobie w czasach nadchodzącej cywilizacji przemysłowej i kapitalizmu własną rolę „najemników umysłowych". Mówi o tym zaszyta w listach ironia Norwida, który uprasza utytułowanych o zakupienie u niego obrazów, a w międzyczasie drwa rąbie w Fontainebleu pod Paryżem.

Pokrewieństwo sytuacji — oto co zbliża Konopnicką do wsi. Łzy, które w tej poezji gęsto roszą wieś, są łzami wypłakanymi nad sobą. I wieś podlega rozczuleniu, a podlegała jej, przed laty tym więcej im mniej było widoków na wyjście z nędzy i uciemiężenia. Ale wieś stała zawsze w swej masie wobec zadania elementarnego: **wyżyć!** I wypełnić je mogła w formie bezpośredniej: pracy w ziemi i około ziemi: w pracy nad wytworzeniem wprost pożywienia. Olbrzymi wysiłek i olbrzymi czas, jakich ta praca wymagała, nie wiele zostawiały i zostawiają chwil na wzruszenia, tzn. na nie doprowadzone do skutku działania. W odwrotnej sytuacji socjalnej znalazła się inteligencja. Tu praca umysłowa, humanistyczna, zapewnia byt pośrednio i jest nieustannym procesem samouświadomień.

Nie będziemy wyjaśniali powodów, chcemy tylko podkreślić fakt niesłychanego **shisteryzowania** tej poezji, która dla ludu była pisana. Rozumiemy, że wówczas, „na progu nowej epoki", obszerność zadań jakich wymagał postęp, przerastała możliwości tych, którzy sobie ją uświadomili. Stąd ten jaskółczy niepokój, potęgowany poczuciem podrzędności i bezradności klasy inteligenckiej. Ale fakt faktem. Na ekran wsi rzucono inteligenckie niepokoje, inteligenckie wzruszenia, to jest — nie dające się doprowadzić do skutku działania. Te zwichnięte działania, dla których jedynym wyrazem stały się **płacz i rozkliwianie** się uważamy dziś za bardzo złą szkołę dla chłopa pisarza-literata i pisarza-społecznika.

Niejasność twórczej roli inteligencji wpisana została na konto wsi.

„*Cośći* mnie woła,
Cośći z piersi zabiera mi duszę..."

— — — — — — — — — — — — —

W górębym się rwał
Jak skowronek skrzydłami szarymi.

Z poznaniem wsi nie ma to nic wspólnego, ma natomiast wiele z żerowaniem na ówczesnej popularnej opinii o wsi, w której prymitywizm chłopski uchodził za tak wielki, że można o rozbudzeniu go mówić językiem bajki: dobrze, jeśli w ten głaz tchnie się jakąś magiczną moc poruszenia go „kajsi" i jak w nim echo odda chociażby „**cośći**". Wystarczy, tyle — ale komu tyle wystarczało? Filantropijnym opiekunom, którzy mieli główny kłopot ze swoją bezdziejowością i wtopili ją w krąg zadań społecznych epoki.

U Kasprowicza, poligloty, (władał dziewięcioma językami), piętrzą się wszystkie możliwe kultury świata od indyjskiej i chińskiej poczynając. W tej mieszaninie secesji stylów i treści — idzie o scenerię dla dramatu duszy jednostki wyrwanej ze środowiska macierzystego i wprowadzonej awansem społecznym w klasę inteligencji, której przydział i miejsce w historii Narodu Polskiego są wciąż jeszcze nieokreślone.

Szare chaty! Nędzne chłopskie chaty!

— — — — — — — — — — — — —

Dziś wy dla mnie *wspomnień* skarb bogaty
Hej, Czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!...

...„**żeby wyschło naszych łez morze chyba cały świat zapalisz mój Boże**", wtóruje Konopnicka. Zrobią to czasy, losy i Bóg — taka nauka płynie z tej tradycji poetyckiej — ale nie chłop.

Jaka taka konkretność wsi u Tetmajera-poety rozpływa się już zupełnie. Po polach wędrują „osmętnice" i „samotne dusze". Anioł Pański gra się po to, aby można było ukazać złą dolę człowieka w ogóle. I to jest inteligencki zaułek bezdziejowości, z perspektywy którego zacierają się czasy, rasy, narody i klasy — pozostaje tylko: „**człowiek**".

Będziemy surowsi i powiemy, że ta **istota człowieka**, absorbująca poetów, których tradycja na wsi jeszcze żyje, stanowiła jedną z konkretnych postaci człowieka — właśnie członka, wytasowanej inteligenckiej klasy, a nagość i ubóstwo schematu tej postaci kłócącą się z konkretnością i bogactwem życiorysów ludzi z innych środowisk, a w szczególności z ludowych — była i jest wciąż atutem w trwającej próbie narzucenia społeczeństwu tej skurczonej problematyki jako treści narodowych.

Schemat ten jest przejrzysty i... jak chcą nam wmówić — powszechny. Można sobie wyobrazić jakiś podstawowy, wspólny wszystkim ludziom zespół składników; z doświadczenia jednak wiemy, że nie z nim, ale z jego konkretyzacją mamy w każdym poszczególnym wypadku do czynienia; z człowiekiem z jakiegoś czasu, z jakiegoś środowiska, jakiegoś zawodu, jakiegoś wyglądu, stanu zdrowia, humoru i t.d. i to dopiero jest dal nas ważne.

A przy tym schemat „istoty człowieka", który wyziera z tej poezji nie budzi zaufania co do jego po-

(Dalszy ciąg na str. 2-ej)

MARIA KONOPNICKA

ZASZUMIAŁ LAS...

Zaszumiał las, zaszumiał las
Od płaczu mojej pieśni...
Po szczytach drzew ruszył się śpiew,
Ptaszkowie łkają leśni...

Zakipiał zdrój, zakipiał zdrój
Od tęsknot moich żaru,
I sine mgły i srebrne łzy
Rozbłysły w cieniach jaru...

Zerwał się wiatr, zerwał się wiatr,
Echem mych skarg zbudzony,
I ponióśł szum żałosnych dum
W dalekie, cudze strony...

Uderzył dzwon, uderzył dzwon,
Jak serce me, na trwogę,
A sennych chat, gdzie lud, gdzie brat,
Rozbudzić dziś nie mogę!

O POEZJI CHŁOPSKIEJ

(Dokończenie ze str. 1-ej)

wszechności. Człowiek bywa smutny, to prawda. Ale „rozpłakanie się duszy" jako panujący stan — na to się już nie zgodzimy. To jest produkt historyczny. Mówi nam o sytuacji duchowej inteligencji przed 60 laty. Kanony „Młodej Polski", w których obracał się i Kasprowicz i Tetmajer — zakładały takie materiały treściowe, w którychby ów gest duchowej neurozy inteligencji mógł się jak w lustrze odbić. U Micińskiego były to ruiny minionych kultur, u Staffa w uskromnionej postaci codzienne wiadomości, że....

„Zmarł *nędzarz,* nim ludzie go wsparli jałmużną...
Gdzieś pożar spopielił zagrodę wieśniaczą.
Spaliły się dzieci... Jak *ludzie* w krąg płaczą..."

Takie głosy przywoływano na pamięć, aby rozdrażnić i podsycić wewnętrzny stan bolesnego samo-upojenia.

„*Ktoś* dziś mnie opuścił w ten chmurny dzień słotnye..
Kto? Nie wiem... ktoś odszedł i jestem samotny".

Nostalgiczne przeżycia — których przyczyną jest „Ktoś" i sprawy, które się dzieją „gdzieś", uważamy za skutek wyrafinowanych, bezdziejowych przeczuleń i jeśli nazywa je obrona „metafizycznymi przeżyciami", odpowiadamy — broń nas Boże od takiej metafizyki!

***

Omówiona wyżej tradycja poetycka została całkowicie przezwyciężona u tych poetów chłopskich, których czytelnik mógł poznać na łamach „Wsi". Są to dziś poeci już nie folkloru, poeci całego narodu, choć zamiast gry na jednej żałośliwej strunie przy dowolnie rozkładanych elementach panoramy wiejskiej — dają bogatą wiązankę problemów właśnie skonkretyzowanych, jak nigdy dotąd, w materiale wsi.

Kiedy poezje Konopnickiej i Kasprowicza stanowią dokument historyczny nie wsi, ale inteligencji, to ta poezja chłopska nie będąc już echem narzuconej problematyki inteligenckiej, ona dopiero jest dokumentem historii wsi, historii z ostatnich jej lat.

Tam przy założeniu, że wypowiada się dusza człowieka, dawano upust bezkształtnej szarpaninie jednostki inteligenckiej podobnie jak inne z tej klasy oderwanej od żywych sił narodu.

Tu, związek ze środowiskiem, wymiótł z poezji ów żenujący liryzm autorski. Sprawy, stan rzeczy, wydarzenia — wszystko sprawdzalne bądź w doświadczeniu jednostki — bądź klasy chłopskiej, znalazło w nowej poezji swoich jakby członków-sekretarzy, sekretarzy gospodarstwa, gromady i całej warstwy chłopskiej.

Jeszcze na lata przed wojną pisał Nędza - Kubiniec:

„A gdy jesteśmy swojej doli cieśle
Ja zbuntowany chłop — plan jej kreślę...
Wyjdziemy wkrótce naprzód my niesyci
Lecz nie głosować z demokracji gestem
A tylko nakształt w dół płynących lici
Usłyszysz gromów krzyk".

A Jan Baranowicz w roku 1938 przepowiadał jasnowidząco:

„Obozem zagrzmi ekonomski folwark...
— — — — — — — — — —
Wicher w pańskim parku szumi poloneza
chamom, co w grzebną garść ujmą rząd".

Paweł Kubisz ogłasza poemat o „Rebelii Goroli w Mostach". Tworzy chłopską legendę o powstaniu górali. Rzutuje w nią współczesną świadomość warstwy chłopskiej. Wyposaża w deliberację społeczną: chłopskiego sejmu, gdzie sprawę przemiany społecznej stawia zbuntowany chłop na równi ze sprawą ojczyzny.

„W cysarski wojsko, naprzód gorole!
— — — — — — —
Świszczą karwacze... krwiom chłopie płaczesz!"

Twarda to mowa, gdzie jedyny płacz — strumień krwi wylany w walce. W imieniu wsi polskiej świadectwo tej prawdzie złożyły Bataliony Chłopskie.

Jakże daleko jesteśmy od tych łez filantropów wylanych nad wsią i kraszących nimi lica niby przygłupkowato wystruganych figurek Jasiów i Kaś gęsiarek.

Komuż to mącić głowę sprawą człowieka w ogóle, człowieka — „osmętnicy", kiedy gdzieś tam stary gospodarz Wójcik Stanisław z Lubelszczyzny w pasji chłopa i Polaka zapisuje surowo:

Na Węgry płocho, tanecznie
frunęła Polska... Czy wiecznie...?
— — — — — —
Was nauczymy jak Polskę trzeba kochać
— gdy krzywdy jej..é my wyrównamy.

A młoda chłopka Irena Piecówna pisze:

— Chłopscy żołnierze! jakże wyśpiewać prawdę tej prawdy...
prosta dziewczyna, trwożna dziewczyna pójdę z wami zawdy!...

Dość przykładów, aby pokazać, że wieś może mówić w poezji sama za siebie i bardziej odpowiedzialnie, niż jej pierwsi pieśniarze-opiekunowie i dość ważnie, aby w literaturze narodowej otrzymać głos **obowiązujący naród.**

MACIEJ SZAREK

PAMIĘTNIK CHŁOPA PAŃSZCZYŹNIANEGO (III)

Pieniądze rzecz dobra, ani słowa, ale dla mnie w owych czasach książki stokroć były cenniejsze i pożądańsze. Wróciwszy do domu z flisu cieszyłem się też jak dzieciak, że mam tak znaczną liczbę książek u siebie. Ale, że to było w lecie, praca w polu i noce krótkie nie pozwoliły mi czytać ich, jak to było u mnie zwyczajem, że pochłaniałem zaraz każdą książkę, którą przyniosłem do domu, czytałem więc tylko w święto po nieszporach. Na tym powolnym czytaniu zeszło mi lato i nastała jesień.

Wolniejszy już od pracy poszedłem do Krakowa za interesem domowym i wziąłem ze sobą adres Kraszewskiego, który miałem z Warszawy. Będąc w Krakowie nie zapomniałem odwiedzić swego dobroczyńcę i nauczyciela pana Matejkę. Opowiedziałem mu całe swoje zdarzenie w Warszawie i pokazałem adres Kraszewskiego, nad którym się pan Matejko bardzo zastanowił, ale zaraz objaśnił mię, kto jest ten Kraszewski, o czym wówczas nic jeszcze nie wiedziałem, i kazał mi zaraz do Kraszewskiego pisać. Ale uprosiłem go, aby mi adres na kopercie listowej napisał, upewniając go, że po powrocie do domu list sam sobie, nie zwlekając, napiszę.

Kilka dni zaledwie od mego pisania minęło, a już od Kraszewskiego list bardzo uprzejmy dostałem. Sam przeczytać go nie mogłem, ale pan Matejko mi go przeczytał. Gdy się dowiedziałem, co Kraszewski pisze w liście do mnie, łzy mi oczy zalały na tak czułe wyrazy, których nie czułem się godnym. Pan Matejko kazał mi ten list schować na pamiątkę, jako pochodzący od zasłużonego męża.

Więc kiedy błysła mi iskierka oświaty w oczach trochę przez czytanie książek, a trochę za pomocą ludzi światłych, którym oświata ludu na sercu leży, postanowiłem częściej bywać w Krakowie, gdzie się zapoznałem z bardzo wielu osobami, a nawet z młodzieżą akademicką. Ci ostatni tak byli dla mnie dobrzy jak właśni bracia. Co tylko przeczytali różne gazety, które mieli u siebie w czytelni akademickiej, dawali mi je do domu na własność. Te gazety dużo wzbudzały we mnie dobrych chęci i coraz większe zamiłowanie do czytania różnych wiadomości i wypadków światowych. I tak bardzo rozmiłowałem się w czytaniu, że zapomniałem drugi list napisać do Kraszewskiego, który natedy nie z własnej woli, tylko na rozkaz moskiewskiego rządu za należenie do zabiegów patriotycznych, przedpowstańczych przeniósł swoją siedzibę z Warszawy do Drezna. Ale sławny ten mąż nie czekał, aż będę pisał do niego i sam drugim z kolei serdecznym listem z Drezna podał mi adres. Więc od tego czasu zawarła się korespondencja moja z Kraszewskim, która trwała aż do ostatniej chwili życia sławnego pisarza.

Gdy w roku 1863 wybuchło w Królestwie Polskim i na Litwie powstanie o wolność i niepodległość narodu naszego miałem i ja zaszczyt i szczęście utrzymywać częste stosunki z powstańcami. Zawdzięczałem to położeniu mego gruntu, ponieważ — jak wspomniałem na początku — mieszkam z całym swym gospodarstwem nad korytem Wisły, o dwie mile drogi od granicy Królestwa Polskiego wprost na Baran. Otóż wiele osób z komitetu narodowego w Krakowie znało mię, wiedziało w jakiej mieszkam okolicy i że tu za młodu trudniłem się rybołóstwem na Wiśle, więc wysyłali powstańców z Krakowa, ażebym ich przez Wisłę przeprawiał i drogę im wskazał na Baran.

Czyniłem to wiele razy bez zaprzeczenia ze strony policji. Ale później Austria zaostrzyła swoje ząbki przeciw powstaniu i stawszy się uprzejmą służebniczką Rosji szkodziła mi na każdym miejscu.

Z tych czasów najbardziej utkwił mi w pamięci jeden zwłaszcza dzień. Gdy Langiewicz dowódca opuścił swój oddział, przeszli jego ludzie w krakowskie i przybyli do wsi Kujawy, leżącej nad Wisłą naprzeciw gminy Brzegi, gdziem ja mieszkał i wołali, żebym ich na swej łódce przewiózł przez Wisłę. A było ich około 50 młodych ludzi i jedni prosili abym im wskazał drogę na Bochnię, a inni chcieli się dostać na Podgórz. Więc przewiozłem wszystkich po kolei na łódce i w dom swój przyjąłem ich mile, choć skromnie, bo czym chata bogata, tym rada. Wypoczęli więc sobie u mnie od 8-mej z rana do 3-ciej po południu, bez żadnej przeszkody ze strony policji. Tymczasem sąsiedzi moi zgromadzili się w znacznej liczbie około domu i mówili: „U Macieja są Polacy", bo natedy nie wiedzieli jeszcze chłopi, jakim są narodem, nie wiedzili oni natedy, za co to ich bracia krew przelewają, nie wiedzieli, że to była walka za wolność ludu. Dziś czasy się zmieniły na szczęście, dziś włościanie wiedzą, za co się ich bracia bili z Moskalem, dziś już nie powiedzą na nikogo, że to są Polacy, bo wiedzą z radością i dumą, że oni sami są Polakami.

Gdy jednak młodzi powstańcy usłyszeli, że ich sąsiedzi moi nazywają Polakami i powstańcami, poczęli się lękać. Ale uspokoiłem ich natychmiast, mówiąc: „Nie bójcie się, panowie, bo wam tu ani włos z głowy nie spadnie przez moich sąsiadów. Jest to lud bardzo poczciwy, a jeżeli on to mówi, to z przyczyny swojej ciemnoty. Jakoż prawdziwie nic złego im się nie stało i po kilkugodzinnym u mnie odpoczynku jedni odeszli, inni zaś odjechali spokojnie. Gdy na trzeci dzień dowiedziała się policja o tej wizycie powstańców w mojej chałupie, zaraz przysłała do mnie na rewizję z powiatu Wielickiego dwóch urzędników i trzech żołnierzy-strzelców. Panowie ci przeszukali każdy kąt, przetrzęśli wszystkie sprzęty domowe, ale nic nie znaleźli, bo to, czego szukali, nie było na środku stołu. Zabrali więc ze sobą do powiatu tylko trzy książki, które później oddali.

Wezwano mię jednak, abym na drugi dzień stanął do protokółu przed naczelnika pana Janickiego tej rangi, co teraz starosta. Ów pyta się mnie:

— Ty przewozisz przez Wisłę powstańców?

— Ja, panie, przewożę różnych ludzi, odpowiadam, a ci płacą mi za to po dwa krajcary od osoby. A co on jest i gdzie idzie, o to ja się nie pytam.

— Jeżeli nie znasz człowieka, którego przewozisz — mówi pan naczelnik — masz obowiązek zapytać go dokąd idzie.

— Proszę pana — odpowiadam — wszak ja płacę podatki na utrzymanie porządku w kraju, to ta sprawa należy do policji a nie do mnie.

— Czytasz zapewne gazety, co? — pyta się pan naczelnik.

— A czytam, proszę pana — mówię — bo chcę się dowiedzieć, co się w świecie dzieje.

— A co ciebie świat obchodzi? Ty jesteś chłop, więc patrzaj sobie pługa, kosy i wideł, a nie gazet i świata! Co tam zakipiało w sercu, to zakipiało na te wzgardliwe słowa, ale odpowiedziałem grzecznie: „proszę pana, nam chłopom tak samo jak i panu wolno dziś uczyć się w szkole".

Po wielu i bardzo wielu innych zapytaniach i odpowiedziach uwolniono mnie całkiem od kozy, ale spotkała mię dotkliwa kara materialna, bo pan naczelnik dał polecenie do wójta gminy naszej Brzegi, aby łódkę moją wynieść z Wisły na brzeg i zamknąć do grubego drzewa a klucz zatrzymać w urzędzie gminnym. Tym sposobem przewóz został mi wzbroniony, bo wójt rozkaz wykonać musiał i łódka przez cały rok była zamknięta. Poniosłem stąd podwójną szkodę: raz, że nie rybowałem przez ten czas, a po drugie, że łódka całkiem zniszczała od słońca i deszczu.

Może myślisz łaskawy czytelniku, że przez ten czas, tak niepokojący dla mnie utraciłem zamiłowanie do czytania? Bynajmniej. Stokroć nawet większego nabrałem, bo wtedy nie tylko książki, ale już i gazety czytałem. A gdym napisał list do pana Kraszewskiego o tym wszystkim, co się ze mną dzieje i co się już stało, odpowiedział pan Kraszewski w te słowa: „Wytrwaj w czynach twoich dla Ojczyzny i narodu twego aż do końca, a sława twoja tym większa będzie jako chłopa polskiego".

Więc na tak miłą odpowiedź pana Kraszewskiego zapragnąłem mieć najwięcej wszelkiej wiadomości tak ze świata, jako i z literatury i w tym celu poznałem się osobiście z różnymi osobami wyższych stanów. A gdy natedy zaczął wychodzić dziennik w Krakowie pt. „Kraj" poznałem się i z redaktorami tegoż dziennika, panami Władysławem Sabowskim i Anczycem, którzy dziennik swój przez czas krótki wychodzący, bezpłatnie mi przysyłali.

Więc ja nabrałem śmiałości i napisałem do owego dziennika pierwszy, a później drugi artykuł. Ale niestety oba te artykuły były niezdatne do umieszczenia w owym dzienniku, aż napisałem trzeci, a ten był z poprawkami umieszczony. W tym samym czasie zaczął wydawać pan Kraszewski w Dreźnie tygodnik w języku polskim pt. „Tydzień" i także przysyłał mi go bezpłatnie, a ja rozmiłowałem się bez granic w czytaniu owych czasopism i począłem przemyśliwać, żeby to można co napisać do owego tygodnika do Drezna. Zdobyłem się nareszcie na artykuł z życia ludu, a pan Kraszewski bardzo się uradował tym artykułem i takowy z małymi poprawkami umieścił. Więc byłem tym bardzo ucieszony, że mój artykuł pan Kraszewski ogłosił w swej gazecie, a potem ośmieliłem się częściej pisywać do innych gazetek ludowych, które wtedy wychodziły w Krakowie, jako to „Zgoda" i „Włościanin", do których już poprzednio parę razy pisałem.

(dalszy ciąg nastąpi)

STEFAN LICHAŃSKI

PROSTOWANIE DRÓG

W porównaniu z okresem po pierwszej wojnie światowej życie kulturalne i literackie rozwija się u nas w tej chwili dziwnie ospale i niemrawo. Czy przyczyną tego jest brak talentów, które potrafiłyby tak wyrazić nastrój swoich czasów, jak np. Tuwim czy Lechoń, tak reprezentacyjni pisarze tamtego okresu? Czy może brak atmosfery zainteresowania i życzliwości ze strony społeczeństwa? Czym wytłumaczyć kompletny brak jakichkolwiek ambitniejszych poszukiwań nowatorskich i wzrost tendencyj artystycznie wstecznych (nawrót do przezwyciężonej już przed wojną ideologii artystycznej „Skamandra", wyrzekania się przez wielu poetów tradycji Awangardy).

Działa tu oczywiście wiele przyczyn i trudno zdać sobie sprawę dokładnie z zasięgu i nasilenia wpływów każdej z nich. Jedną jest niewątpliwie śmierć szeregu wybitnych literatów (Irzykowski, Czechowicz, Witkiewicz, Kaden, Sieroszewski, Schulz — z młodszych: Stachowski, Fryde, Rogowski, Hollender i tylu innych) oraz brak ściślejszego kontaktu z krajem pisarzy emigracyjnych. Sprawą chyba jeszcze ważniejszą jest wstrząs moralny, jaki przeżyło społeczeństwo nasze w wyniku wojny. Ta wojna uświadomiła nas dopiero, ile jeszcze czysto zwierzęcego bestialstwa tkwi w człowieku, jak mało oddalił się on od swoich jaskiniowych przodków. Spowodowało to wzrost nieufności do kultury europejskiej, która okazała się tak słabym i zawodnym hamulcem dla ludzkiej bestii, oraz rozbudziło nastrój lęku i niepewności, tak charakterystyczny dla naszych czasów.

*
**

Ta powojenna psychoza lękowa zaciążyła również nad literaturą polską, zaciążyła nad psychiką intelektualistów i artystów. Proszę, jeżeli oczywiście ktoś dysponuje sporą ilością wolnego czasu, przeczytać uważnie komplety „Kuźnicy" i „Tygodnika Powszechnego". Są to pisma o ideologii biegunowo różnej, a jednak klimat duchowy, z którego wyrasta publicystyka obu tych pism jest bardzo pokrewny. W „Kuźnicy" straszy upiór hitleryzmu, groza możliwości powrotu tej zmory, pod której potwornym uciskiem przeżyliśmy sześć najczarniejszych (jak dotychczas) lat dwudziestego wieku. W „Tygodniku" z poza wszystkich niemal artykułów a nawet felietonów, pisanych nawet na najbardziej „literackie" i od spraw życia bieżącego nader odległe tematy, wyziera ustawiczny lęk, czy też nasza demokracja nie przechyli się zanadto w lewo, czy przypadkiem — broń Boże... Tu przerwyjmy, bo względy delikatności nakazują powstrzymanie się przed wypowiedzeniem słowa, które, aczkolwiek tajone w najskrytszych zwojach mózgu, płoszy sen z powiek pobożnych kanoników i profesorów pisujących do krakowskiego tygodnika.

*
**

Czy groza, która minęła przed paru zaledwie miesiącami, może powrócić? Zapewne. Dzięki wojnie zorientowaliśmy się dobrze, jak cieniutka jest ściana, która dzieli w człowieku oświeconego Europejczyka XX-tego wieku od jaskiniowego dzikusa. Mamy powody do strachu. Niewątpliwie. Ale strach jest złym doradcą. Strach albo paraliżuje człowieka i czyni go bezwolnym niedołęgą, albo też podnieca go do działalności wręcz nieobliczalnej. Wyzwolony latami wojny chaos najbardziej prymitywnych impulsów kipi w każdym z nas i może przełamać lada moment zaporę woli i rozsądku. A wtedy grozi recydywa dopiero co minionej choroby.

Może niejednemu wydać się to niedorzeczne albo i wręcz potworne, ale wiele przemawia za tym, że gdyby odwet na Niemcach — bodaj krótkotrwały — wykonany został przy zastosowaniu hitlerowskich metod, rozładowałoby to może napięcie kompleksów nienawiści, zemsty, strachu, które dotąd wywierają wpływ na życie psychiczne ogromnej większości współczesnych. Jako chrześcijanin i demokrata nie myślę oczywiście propagować podobnych metod lecznictwa; sprawę stawiam dlatego w tak jaskrawy sposób, by jak najwyraźniej wykazać chorobowy stan psychiki zbiorowej, stan, który musi zostać przezwyciężony, jeżeli Europa nie ma zginąć w katastrofie jeszcze potworniejszej niż ta, którą przeżyliśmy ostatnio.

*
**

Tymczasem poszczególne grupy zdolne do wywierania wpływu ideologicznego na społeczeństwo szukają dróg innych: chcą chronić się za barierą sił fizycznych i przepisów prawnych przed niebezpieczeństwem. Ale siła zawsze może zetknąć się z siłą potężniejszą, co zaś do prawa — to praktyka hitlerowska wykazała dokładnie, czym może stać się instrument prawa w rękach zbrodniarza. Grozi nam niebezpieczeństwo, przed którym nie ocali ani armia, ani ilość mandatów poselskich naszej partii w sejmie, ani najbardziej po naszej myśli idące ustawodawstwo prawne. Niebezpieczeństwo tkwi bowiem w nas i jeżeli tam go nie przezwyciężymy, jeżeli nie oczyścimy naszego wnętrza z pozostałości wojennego chaosu, trwożąca nas zmora nie ustąpi.

Lęk i wzajemna nieufność — oto dziedzictwo, jakie nam pozostawił hitleryzm. I nierozładowane napięcie wrogości, które — o ile nie zdołamy go zlikwidować przy pomocy rozsądnego lecznictwa — zwrócić się może przeciw najbliższemu z bliźnich, z którym będziemy mieć na pieńku.

Istnieją tendencje, by rzeczywistość polską rozparcelować między dwie wrogie sobie doktryny, z których jedną reprezentuje „Kuźnica", drugą „Tygodnik Powszechny". Zaostrzenie konfliktu ideologicznego między wyznawcami tych dwu sprzecznych doktryn było o tyle cenne, że pozwoliło grupom o ideologiach odmiennych zorientować się w niebezpieczeństwach, jakimi groziłoby rozpowszechnienie się mniemania, że konieczny jest wybór między dwoma wykluczającymi się wzajemnie możliwościami. Dla społeczeństwa tak potwornie zrujnowanego jak nasze, stojącego wobec tak ciężkich zadań rozdarcie na dwa zwalczające się zaciekle obozy byłoby wysoce niebezpieczne.

*
**

Dla całej Europy drogą do wyjścia z obecnego kryzysu jest przezwyciężenie psychicznych skutków wojny. Przezwyciężenie to polegać musi na obudzeniu i wykorzystaniu tych wszystkich impulsów, które skłaniają ludzi do solidarności i współpracy, a na opanowaniu impulsów niszczycielskich i antyspołecznych. „Stosunek nasz do tych, których kochamy, można śmiało pozostawić instynktowi; tym, co powinno być poddane kontroli rozumu, jest nasz stosunek do tych, których nienawidzimy". — mówi Bertrand Russell w „Szkicach sceptycznych". W momencie obecnym odwołać się trzeba przede wszystkim do tego, co nas łączy, a nie do tego, co nas dzieli. Nigdy jeszcze w życiu naszym nie było potrzeba tyle racjonalizmu, tyle dobrej woli i tyle życzliwości dla ludzi, co dzisiaj.

Atmosfera wojny wszystkich przeciw wszystkim jest dziś wysoce niebezpieczna. Zbyt sprzyja ona bowiem pleniemu się tych wszystkich wypaczeń psychicznych, które w interesie ogólnego dobra powinny być jak najrychlej likwidowane. Czytając zaś obecną publicystykę literacką widzi się, że pisarze daleko więcej energii i zapału poświęcają *zwalczaniu cudzych* stanowisk niż *uzasadnianiu własnych.*

*
**

Pierwszą i najbardziej podstawową zasadą demokracji jest szacunek dla człowieka, a więc również dla jego myśli. Demokracja, aby nie uległa wypaczeniu, musi być oparta na zasadniczo pozytywnym i życzliwym stosunku człowieka do człowieka. Wyzwolenie od zmór czasu wojennego może nam dać tylko usilna i w atmosferze wzajemnego zaufania odbywająca się współpraca, w której ewentualne różnice poglądów nie będą traktowane jako zapory niemożliwe do przezwyciężenia. Nikt nie posiada monopolu na prawdę, nikt nie ma prawa do narzucania swojej ideologii jako jedynie obowiązującej. Nie dajmy się opętać kompleksowi kamienia fiolzoficznego, naiwnej wierze w możliwość znalezienia formuły określającej rzeczywistość w sposób ostateczny i nieodwołalny. Za tymi tęsknotami do ostatecznej, metafizycznej niemal pewności kryje się bowiem z reguły trwoga i niepewność. Atmosfera zaś bezwzględnej walki wyolbrzymia wzajemną międzyludzką niechęć we wrogość, zapał ideologiczny przemienia w fanatyzm, a wiarę w słuszność swojej sprawy w zaślepienie.

Piekło hitlerowskie zostało zniszczone, ale pobyt w nim odcisnął trwałe ślady na psychice współczesnych. Nic nie pomoże choremu najlepszy lekarz, o ile chory nie chce się leczyć. Trzeba sobie uświadomić trwającą w nas wciąż psychozę leku i nieufności. Bez jej usunięcia bowiem nie potrafimy osiągnąć rzeczowego i spokojnego stosunku do spraw współczesności i nie zdołamy wyzwolić w pełni energii twórczej społeczeństwa.

LISTY DO MŁODEGO POETY (III)

Ach, nie zrozumiałeś mnie dokładnie. Wzmiankując o Twojej powieści, nie chciałem narzucać ci jakichkolwiek sugestii co do układu dzieła. Szczegółowe wypisy, co chcesz poruszyć, postaci autentyczne i zmyślone, jakie wprowadzasz, — to wszystko świadczy, że właściwie znasz epokę nie równie ode mnie lepiej.

Mnie chodzi o to tylko, byś klasy społeczne ówczesne, starał się ująć obiektywnie, epicko — byś rozróżnił, że wieś tamta, to niejednolita bryła ludzka, ale państwo klasowe z licznymi kastami.

A więc fornale i wolarze, pracujący na folwarkach, to był rodzaj niewolników, do których nawet trzymorgowy chłop odnosił się z wyższością i pogardą. W kolejności społecznej szli następnie komornicy i małorolni, którzy zarabiali po dworach, lub co częściej się zdarzało, emigrowali w poszukiwaniu pracy, — dalej masa średniaków, wreszcie kułactwo, bogacze wiejscy.

Na tym obfitym tle zaś indywidua: przeróżni urzędnicy i obrzędowcy — wójt, pisarz gminny, nauczyciel, organista, kościelny, ksiądz,, karbowy ze dworu, retman flisaczy, wreszcie pierwsi robotnicy sezonowi powracający z Ameryki, pierwsi chłopcy uczący się po gimnazjach, no i pierwsi literaci.

Poeta wiejski zresztą w owych czasach to był przeważnie świątek, prostaczek, ktoś, kogo się prowadziło w naiwnej laurce na uroczystości patriotyczne, kogo się jak osiołka rzewnego przyjmowało nawet po dworach i dawało mu ochłap pochwalny w przemówieniach (Kuraś, Wiącek, Słomka). Nie brakło wśród tych początkujących pisarzy jednak i nosicieli szerokiej myśli rewolucyjnej — pamiętaj o tym.

Słomka, to był moim zdaniem chłop stateczny, rozważny, nie bez chytrości zresztą, który wprawdzie wierzył, że zamek i kościół to rzeczy święte, wyższe nad wszystko, ale i potrafił z tego wyciągać korzyści, politykował nie źle w zakresie swoich przekonań.

Ferdynand Kuraś to przeciwnie, dusza nawskroś poetycka, uczuciowa. Płakał rzewnymi łzami, gdy czytał Konopnicka, Mickiewicza, czy Syrokomlę, płakał również, gdy znalazł się w Krakowie przypadkiem i własnymi oczyma oglądał pomniki przeszłości narodowej, o których przedtem czytał.

Co do mojego stryja Franciszka, to właściwie działalność jego, nawskroś rewolucyjna zresztą, odnosiła się raczej do terenu Krakowa, gdzie ogłaszał swoje artykuły publicystyczne i wiersze stosowane w „Prawie Ludu", tygodniku socjalistycznym Klemensiewicza.

Klasowe państwo wiejskie żyło oczywiście przeróżnie — była tam i zbrodnia, było nieszczęście, ale i była sielanka. Powietrze z zamku hrabiowskiego, z dworków szlacheckich rzucało na tamten świat banie fajerwerków od czasu do czasu, aby i lud „ukochany" korzystał z piękna. Intrygi zakrystii i karczmy wyznaczały, niezależnie od wszystkiego, nieuchronny kierunek życiu. Nagle Wojna Światowa 1914 roku — nowe światła, wreszcie dąbałowszczyzna...

W tym dzisiaj jednym z najbardziej prawicowych, czy centrowych powiatów — o ironio historii — zapowiadało się na rewolucję, była już republika!... (Republika zresztą jakaś komiczna, niedojrzała, saska).

Ile ty lat musisz pracować nad tą powieścią? — z pięć może. Ale nie zrażaj się — to będzie dzieło, co może przetrwać.

Nawiasem mówiąc, przychodzi mi na myśl, że właściwie twórczość poetów i pisarzy pochodzenia chłopskiego jest w sensie narodowym jeszcze jak skromna. No, jest, jeśli idzie o poezję — Kasprowicz, Przyboś w naszym pokoleniu — z powieści zaś Reymont ze swoją wielką epopeją i Orkan z realistyczną, filozofującą z lekka prozą — i tyle!... Współczesnym zaś jakby brakło rozmachu. Radują się swoją domową nutką, nie chcą sięgnąć do problemów ogólnonarodowych. Co tu gadać — z wyjątkiem może Przybosia my wszyscy nie jesteśmy tak świetnie przygotowani literacko jak tamci — Kasprowicz i Orkan.

Sztuka literatów, chłopów, musi ogarniać temat jak najszerzej — wtedy będzie dopiero można powiedzieć, że spełniła swoje zadanie.

Na nas leży obowiązek pracy, pracy — realizowania siebie jako pisarzy w 100% a nie w 25. Tymczasem co się dzieje? Najwięcej utalentowani, o których nam chodzi, jakoś tak z polska poprzestają na wygodnym patrzeniu w niebo i oczekiwaniu lepszych czasów zamiast pisać.

Powiesz, że ja się unoszę, że po prostu dziś brak jest talentów tej miary, co było za czasów Kasprowicza. Choćby i tak było, tym większa odpowiedzialność leży na was młodych, liczących 20, 22 i 25 lat. Czeka was tematów moc.

Rok 1846 — pańszczyzna i zniesienie pańszczyzny w zaborze austriackim — rok 1863, powstanie i czasy zniesienia pańszczyzny w Kongresówce, chłop w okresie pierwszej Wojny Światowej, wreszcie ostatnia wojna z jej największymi czynami i reformami, jeśli idzie o życie wsi polskiej.

Tak, do urzeczywistnienia tych planów trzeba nauki i wielkiego doświadczenia. Mickiewicz powiedział kiedyś, że poeta wszystko poznać powinien, co napisane zostało przed nim, nie dość winien przemyśleć to i wyciągnąć dla siebie wnioski. Święta to prawda. Jeśli tego nie zrobimy, to zawsze nasza praca będzie powiatowym, czy wojewódzkim śpiewaniem. A nam trzeba piersi na całą Polskę — i dalej!...

(Dokończenie na str. [illegible])

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

O INNĄ SPÓŁDZIELCZOŚĆ...

Rok temu, na jesieni 1944, odbyło się w wyzwolonym Lublinie święto spółdzielcze — takie samo święto, na jakie patrzaliśmy i w którem uczestniczyliśmy parę dni temu. Niewątpliwie, tym razem było to prawdziwie huczne święto. Na domach, płotach, i ulicach miast i wsi polskich pojawiły się piękne afisze wyobrażające drzewo uschłe od korzenia, przedzielone tęczową smugą, i od miejsca w którem przegradza je ten wielobarwny pas — symbol spółdzielczego zjednoczenia — zakwitające świeżymi zielonymi pędami, na znak, że „SPÓŁDZIELCZOŚĆ TWORZY NOWE ŻYCIE”. W oknach związków zawisły tęczowe sztandary, tak różne przez swoją baśniową kolorowość od wszystkich flag świata, a za szybami widniały portrety twórców spółdzielczości polskiej; dumna głowa Stefczyka, zawzięte spojrzenie i zaciśnięte usta Thugutta, i owalna twarz o niepozornych rysach, lecz o wyrazie uporu i wytrwałości — Romualda Mielczarskiego, najwybitniejszego pewnie polskiego pisarza spółdzielczego. W miastach odbyły się zjazdy, na których przemawiali nietylko wysocy przedstawiciele władz państwowych, ale także goście angielscy i francuscy, przedstawiciele europejskiej spółdzielczości, specjalnie na polskie święto przybyli, po raz pierwszy po pięciu strasznych latach wojny.

Inaczej było wtedy w Lublinie, gdy o sześćdziesiąt kilometrów od miasta grzmiały salwy armatnie, a niepokój o los Warszawy i reszty ojczyzny ciążył na wszystkich którzy tam wtedy żyli. Niemniej była Lubelszczyzna zarodkiem Polski i z niej miało wyjść wszystko, co się potem na cały kraj rozejdzie, — to też nie zapomniano o święcie spółdzielczym. Pisma zamieściły artykuły i wzmianki, a spółdzielcy zeszli się na skromne obrady — ale na tem poprzestali, że wyrazili nadzieję w przyszłość spółdzielczości polskiej, nic nowego nie zaprojektowawszy. I w tem co gazety pisały, były tylko życzenia pomyślności, a tak że wyrazy nadziei, że nowa chłopska spółdzielczość dokończy przebudowy wsi, rozpoczętej przez reforme rolną. Na tem się narazie skończyło: przemilczało się wtedy wiele rzeczy, które się nie powinny podobać i które należało zmienić, — ale za wielką była radość z wyzwolenia, z tego że wogóle jest polska spółdzielczość, żeby odrazu ją napadać i krytykować.

Tymczasem minął rok, i gdy dzisiaj słuchamy przemówień spółdzielczych i oglądamy portrety starych patronów ruchu, nie możemy oprzeć się uczuciu goryczy — tak to wszystko jest bez zmiany, jak było lat temu pięć, i lat temu piętnaście; tak powtarzają się hasła, czcigodne i aktualne jeszcze w 1905 roku, gdy je Edward Abramowski układał, dziś już wytarte, zużyte, a nawet nic nie znaczące, tak w praktyce zwyciężają rutyniczne, sklepikarskie metody przy braku nowej, dostosowanej do nowej sytuacji ideologii, tak wydaje się spółdzielczość, na której tylu tyle nadziei opierało, niezdolna do zaprojektowania i wykonania planu wielkiej budowy chociaż nigdy nie miała szans tak pięknych, jak dzisiaj. Czy jednak nie posuwamy się zadaleko, żądając od ruchu spółdzielczego tego, czego on nie jest w stanie ani w zamiarze wykonać? Spróbujmy więc określić jakie są nasze pretensje, a jakie realne możliwości ich wykonania.

SPÓŁDZIELNIA USTĘPLIWA

Nikt dotychczas nie wytoczył polskiej spółdzielczości procesu o „współpracę z okupantem”, mimo że wiele osób i instytucji staje dziś przed sądem opinii, i jeśli nawet nie zapada wyrok potępiający, to przynajmniej zmuszony jest delikwent do gęstego usprawiedliwiania się. Wciąż jeszcze porusza umysły sprawa prof. Młynarskiego, prezydenta „Banku Emisyjnego w Polsce”, i ci którzy go obecnie wprowadzili do Akademii Umiejętności, zapytywani przez społeczeństwo, objaśniać muszą, że były akcje tego rodzaju, że choć przez Niemców kierowane i dla nich w pierwszym rzędzie pożyteczne, jednak i społeczeństwu przynosiły ulgę i konieczne ułatwienie życia. Tak było z akcją Czerwonego Krzyża, z działalnością Rady Głównej Opiekuńczej, tak miało być i z obiegiem walutowym. Ale jeśli wydaje się jasne, że Czerwony Krzyż był Polakom przedewszystkim pomocą, to przecież budzą się wątpliwości, czy nie zanadto przysłużyli się okupantowi ci, którzy wydrukowali pieniądze, przekazując Niemcom kontrolę nad nimi. I czy nie zanadto przysłużyli się Niemcom, ci, którzy zgodzili się zrobić ze spółdzielni maszynę do odbierania kontyngentów, a więc wzięli bezpośredni udział w organizacji niemieckiego wyzysku gospodarczego, zaopatrującego armję walczącego wroga. Z pewnością nie ucieszyłby się Romuald Mielczarski, gdyby się dowiedział, jak znienawidzone były spółdzielnie rolnicze na terenie „Gubernji”, jak by usłyszał, popularne zdanie o trzech „ważnych osobach”: granatowym policjancie, administratorze „Ligenszaftu” i dyrektorze spółdzielni; gdyby wreszcie na własne oczy ujrzał jak żyje ów dyrektor, i jak żyje urzędnik, potrącający z każdego chłopskiego worka 5%, za rzekome niedoważenia, i z tych procentów składający sumy o wielu zerach. Zaiste stała się spółdzielnia organizacją niemoralną, i tej opinii nie mogą zrównoważyć mizerne dodatnie strony: rozdział premji między ludność i możliwość dostatniego utrzymania się dla pracowników spółdzielni, którzy okradali magazyny ile mogli, w przekonaniu, że działają na szkodę okupanta.

Jeśli jednak nikt nie myśli wytaczać spółdzielczości procesu o te winy, to dzieje się to dlatego, że całe nasze życie pod okupacją podlegało przymusowi i w tym samym stopniu, co spółdzielnie, pracowały na rzecz okupanta i zarządy miejskie i sądy, i organizacje społeczne. A jednak — mamy prawo do spółdzielni mieć żal specjalny. Za wiele sentymentu mamy dla tej organizacji, za bardzo stawialiśmy na jej ideologię, na jej moralno - społeczną wartość. Jeśli za haniebną giętkość spółdzielni nie możemy winić dyrektorów i urzędników, to przecież mamy prawo zrewidować założenia, zasady, metody, które do tak fatalnej kompromitacji ideologicznej doprowadziły.

O SPÓŁDZIELNI KRAMARSKIEJ.

Jest rzeczą uderzającą, że spółdzielczość podobała się każdemu kto w Polsce rządził. Może najtrudniej było jej za caratu; ale potem popierali ją kolejno ludowcy, narodowcy i piłsudczycy; wreście Niemcy też dogadali się jako tako. Gdy rząd się zmieniał, spółdzielcy uskarżali się coprawda, że poprzedni władcy „hamowali rozwój” spółdzielczości. I tu leży sedno. Każdemu spółdzielnia się przydała — dla jednych była „antykomunistyczną formą gospodarczego współżycia”, dla drugich „dźwignią materialną mas”, dla jeszcze innych „zabezpieczała interesy ludowe bez krwawego przewrotu”, ale wszyscy ci krzywo patrzyli na rozwój spółdzielczości, szczególnie przeradzający się w formy kolektywne. Każdy rząd POPIERAŁ SPÓŁDZIELCZOŚĆ W DROBNYCH ROZMIARACH, W JEJ FORMACH SKLEPIKARSKICH. Były to formy niewiele w gruncie różniące spółdzielnię od jakiegokolwiek interesiku kapitalistycznego. Tyle, że właściciel był nieindywidualny: zresztą wszystko to samo, kalkulacja i buchalteria i reklama — wszystkie środki i sposoby kapitalistycznego zakładu, prowadzonego przez pojedyńczego, bogacącego się posiadacza, zmuszonego do konkurencji. Nie było mowy, by spółdzielnia mogła prowadzić własną politykę gospodarczą czy społeczną! W zakresie ideologicznym ograniczała się do naiwnych kazań o pożytku współdziałania. „Razem, młodzi przyjaciele!”, a w praktyce gospodarczej dostarczała członkom proszek do prania i zęby do młockarni na korzystnych warunkach.

ZAŚCIANEK...

Dlatego bowiem dawała się nasza spółdzielczość wszystkim wykorzystywać, że była spółdzielnią DROBNEGO WYMIARU, skazaną na słabość i niesamowystarczalność. I starano się, by taka pozostała. Działo się to w czasie, gdy spółdzielnia na szerokim świecie przechodziła niezwykłe przemiany. Najdalej posunęły się one w Związku Radzieckim, którego nowy kolektywny ustrój oparty został na powszechnej, ogólnokrajowej, obejmującej całe życie gospodarcze sieci spółdzielczej. Ale i we Francji, i w Anglii spółdzielnie przetworzyły się w olbrzymie koncerny, które choć istniały na tle systemu kapitalistycznego, te jednak były już dosyć potężne, by zmusić do liczenia się z nimi. Plan przebudowy ekonomicznej, zaprojektowany przez Prezydenta Roosevelta jako NOWY ŁAD (NEW DEAL), podporządkowujący państwu wielkie zakłady wytwórcze, przewiduje specjalny udział spółdzielni w tej przebudowie ustroju.

ZWIĄZEK SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ

Właściwie możliwości kariery dotąd nieznane otworzyły się przed spółdzielczością w chwili gdy w kraju została przeprowadzona reforma rolna. Dała ona spółdzielczości podstawę materialną — tylko czy rzeczywiście dała, i czy warunki których się spodziewaliśmy, rzeczywiście już istnieją? Czy raczej długo jeszcze czekać będziemy musieli, by się one wytworzyły?

Związek Samopomocy Chłopskiej powstał jako bezpośredni skutek reformy — i powstał od razu jako organizacja pierwsza w Polsce takich rozmiarów i takiego zakresu działania. Był on olbrzymi w porównaniu do innych polskich spółdzielni, dotychczas działających. Stowarzyszać miał wszystkich chłopów pod hasłem wspólnego wykorzystania wyników reformy rolnej, która wszak mogła zaopatrzyć tylko w ziemię nie dając już narzędzi i dobytku. Wszystko, co potrzebne jest chłopu gospodarującemu na niewielkim skrawku, a co zakresem przechodzi jego możliwości — więc maszyny, więc masowe sprowadzenie ziarna i nawozów sztucznych — miało być przedmiotem zainteresowania Związku. Na razie — a w perspektywie i olbrzymie składy zboża i spółdzielczy handel całą produkcją rolną wsi polskiej... Związek zakrawał na potęgę.

Szeptano przy tym na ucho, wskazując na przykład Związku Radzieckiego, że Związek będzie organizacją przejściową, podobną do spółdzielni NEPu, że utoruje drogę kolektywnej organizacji gospodarczej... Zarząd Związku Samopomocy kategorycznie zaprzeczał tym „wyjaśnieniom” złośliwym, pochodzącym z kół, które straszenie komunizmem uważały za główny argument propagandy antyrządowej. Związek miał być co prawda spółdzielnią o niezwykłej rozpiętości, tak — ale niczym więcej.

Niestety, okazało się że jest jeszcze czymś mniej. Trudno określić dlaczego tak się stało — czy była to wina niechęci chłopa, który masowo Związku nie poparł i zostawił go w rękach Zarządu, nie objawiając odpowiedniego zainteresowania, czy była to wina ostrożności tego właśnie Zarządu, czy może reforma nie utrwaliła się dostatecznie przy ciągłych na wsi obecnej przemianach, i przy ruchu ustawicznym na zachód; czy może podział wsi na bogatszych i biedniejszych ciągle jeszcze jest tak dobitny, że niesposób zjednoczyć się we wspólnych interesach, czy może wpływy rządowe hamowały szerokie zapędy organizacyjne Związku, ograniczając go wreszcie do organu kontroli, podobnego do dawnej Izby Rolniczej? Zapewne wszystkie te czynniki potrosze sprawiły, że stał się Związek raczej zawodowym stowarzyszeniem rolników, o zabarwieniu politycznym prorządowym, niż ową organizacją spółdzielczą o nowej ideologii gospodarczej, istotnie TWORZĄCEJ NOWE ŻYCIE, której się po nim spodziewaliśmy.

Dołącza się tu jeszcze jeden nieszczęśliwy czynnik polityczny. Najogólniej możemy go określić jako lęk przed radykalizmem i przed wszystkim, co przypomina kolektywne formy gospodarki. Płynie on z błędnego rozumowania, że trzeba się sprzeciwiać wszelkim reformom społecznym zbliżającym nasz ustrój do socjalistycznego, ponieważ reformy te idą na rękę PPRowi: oto argument, używany przez wszystkich przeciwników politycznych tej partii. Po pierwsze, nie jest NIESTETY nasz rząd tak skory do radykalnych a tak potrzebnych pociągnięć: po drugie, jest wielkim głupstwem łączyć argumenty polityczne ze sprawami KONIECZNEGO POSTĘPU. Reformy gospodarcze i społeczne muszą być NIEZALEŻNE OD POLITYCZNYCH SYMPATII, bo partie przemijają, a kraj zostaje... zostaje zatrzymany W POŁOWIE NIEDOKOŃCZONEJ REFORMY, reformy która przeprowadziły zdawna najbardziej nawet zacofane, reakcyjne państwa!

Spółdzielczość nasza wciąż nie jest spółdzielczością nowoczesną. O tym zawsze musimy pamiętać, bez względu na to czy nasze skłonności i temperamenty pchają nas do PSL czy do jakiejkolwiek innej partii. Wciąż jesteśmy w okresie prowizorycznym, wciąż hamują nas rozliczne węzły, jeszcze przed 39-ym rokiem splątane — ale już reforma rolna i założenie Związku Samopomocy — jakkolwiek trudno żeby nas w obecnym swym stanie zadowoliły — stanowią zalążek przyszłości. Od tego zależy bardzo wiele, a nawet i wszystko — bo GOSPODARCZY I SPOŁECZNY POSTĘP PAŃSTWA POLSKIEGO.

LISTY DO MŁODEGO POETY

(Dokończenie ze str. 3-ej)

Jeszcze jedno: sprawa prawdy artystycznej. Mówię, bo sam jestem niby pełen winy. Zwracano mi kiedyś uwagę, że idealizuję. Półinteligent pewien, kolega mój, za płacem mego ojca siedział ze mną i krwawymi łzami płakał, opowiadając, co rodzina najbliższa wyprawia z nim. Postępowano bezlitośnie, straszliwie — nie obchodziło się tam i bez Gestapo...

— A wy w książkach jakże inaczej opisujecie to nasze życie — mówił. Słusznie — i być może czas dziś pokazać atmosferę wsi od najbezwzględniejszej prawdy. Wtedy piękno fragmentów, piękno duchowe niektórych jednostek błyśnie tym większym blaskiem.

Na obronę swoją powiem tylko, że pisarz zawsze ogranicza się, zacieśnia w temacie, który wybrał. Ja tak robiłem dotychczas.

Na Zjeździe pisarzy chłopskich ktoś z działaczy powiedział, że chłopi wreszcie zdobyli też prawo do luksusu artystycznego, do śmiechu i piękna...

Tak, obok skrajnego realizmu jest miejsce dla śmiechu i sielanki — obok liryki, głębokiej, przemyślanej i na gawędę, żart poetycki. Oby tylko były zamiary i praca o charakterze najwyższego tętna...

Napisałem tak dużo, bo to ostatni list do ciebie. Przyjedziesz, jak przyrzekłeś — to już w rozmowie poruszymy wszystkie inne strapienia życia naszego.

STANISŁAW PIĘTAK

Jan Bolesław Ozóg

ODSTĘPCA

(fragment powieści)

Przyjazd Adama do domu był dla Różańców straszliwą niespodzianką, tym bardziej, że nie uprzedził ich żadnym listem. Stało się to zbyt nagle. Cios był dobrze wymierzony w nadzieje i zamiary ojca. Stary nie krył się nawet z niechęcią ku synowi. A Adamowi ciężko było powiedzieć, że już do seminarium nie wróci. Mruczał, że mu dano urlop, że chory na nerwy. Kazano mu dużo mleka pić i leczyć się. W domu jednak, widział, nastała teraz bieda. Nie doiła się ani jedna krowa i nie było mleka ani dla malutkiej Stefki ani do barszczu. Kury także przestały się nosić, za co więc kupić soli, albo omasty?

Nie długo się jednak dało ukrywać fakt.

Po wsi gruchła wieść, że Różańca wyrzucono z seminarium. Co się wtedy nie działo!

Leciała bajka od domu do domu, z ust do ust: — To go biskup wywalił po prostu za złe egzaminy. Tak oni, prostaczkowie sobie wyobrażali: ano więc, że biskup, i za naukę, wreszcie, że „wyrzucił". — A może jeszcze gorzej? Któż tam wie, co Adam zmajstrował! Może to niedowiarek?

— Lepiej takiego nie trzymać w domu, bo to kara boska — ostrzegł ten i ów Kubę Różańca — syn ci się popsuł!

— Żebyś ino tego nie żałował.

A stary wracał do domu wieczór, kiwał głową, ponury i zły, drobił sobie swój chleb do barszczu.

Adam zamknął się na cały tydzień w izbie, nie wychodził nawet na pole więcej jak tylko rano i wieczór, w nadziei, że sąsiedzi przestaną się nim interesować i skończą się plotki i oszczerstwa.

Nadaremnie. Z tą samą wytrwałością, z jaką czeka się na prowadzenie bandyty, czekały kobieciny zza płotu: Bełzka i Pytlowa na pierwsze wyjście Adama, ciekawe, jak też wygląda taki, który zrzucił sutannę. Stąd też, gdy w Boże Narodzenie rankiem, idąc na mszę, odważył się wyjść ostrożnie na drogę po cywilnemu, w czarnym jeszcze tylko płaszczu, poddany został długiemu, nieznośnie przykremu egzaminowi. Z mężczyzn żaden mu się nie ukłonił. Ten i ów mruczał znacząco i wcale nieuprzejmie, albo podśmiechiwał się ironicznie. Kobiety zaś, z których przecież nie wszystkie uchodziły za parafialne tercjarzyce, rzucały mu surowe spojrzenia. Dziewczęta wręcz parskały śmiechem i to prosto w twarz, że omal się nie rozpłakał. Tak, to była złośliwość, jakiej się można spodziewać tylko od znajomych.

Całą drogę szedł dalej ze spuszczoną głową a w kościele klęknął w samym kącie pod chórem, żeby nikogo nie drażnić swoim widokiem... Niemiłosiernie i brutalnie obeszły się z nim dzieci. Podlotki, które gdy wychodził z kościoła, ciejdały po pastwisku i bawiły się na drodze w śniegu, usuwały się lękliwie w bok z odcieniem odrazy., jakby przeszedł pies zarażony wodowstrętem. Nagle wśród gwaru i wrzasku ucichły jak jedno, pochowały się za drzewa, stamtąd patrzyły mu zuchwale prosto w twarz i, skoro tylko je mijał, mruczały najpierw po cichu, a potem coraz głośniej: — Ksiądz, ksiądź, ksiądz!

Doprowadzało to Adama do wściekłości, że ledwo panował nad sobą. W tym wszystkim nie kryło się nic tak bardzo złego. Wiedział, że dzieci drażnią się z nim, bo ich rodzice im tak każą. Ale i tak miał ochotę puścić się w pogoń i wyrwać komu z korzeniami ucho.

Wyobraźnia hańby wyolbrzymiała w oczach jego obelgę, a wrażliwość jego nie mogła ścierpieć wyrafinowanego okrucieństwa, jakie go spotykało na każdym kroku. Mniemał, że znalazł się wśród samych wrogich i niesprawiedliwych ludzi.

Znowu się rozbiegła plotka, że Różaniec okradł biskupa. Nie było rady z hołotą.

— — — — — — — — — — — —

W domu zaczęła się formalna wojna.

— Do niczego nie dojdziesz, nie będziesz niczym. Ty bandyto mojego zdrowia — to mówiła matka.

A Adam pienił się ze złości, nie wiedział, jak już mówić i jak się bronić.

Niekiedy przychodziło mu do głowy opowiedzieć ojcu wszystko, ale myślał: — to jest prosty człowiek, gdzież zrozumie to, co się w nim dzieje. Rezygnował. Brakłoby mu zresztą słów. To było wszystko jak burza, w charakterze mało zindywidualizowane, nawał faktów, rzeczy i cierpień. Tylko krzykiem można by to opisać, a to mniej przekonuje, niż chłodna argumentacja, na którą teraz nie mógł się zdobyć. Zresztą sam nie wiedział, czy był bez winy. Przecież tylu ludzi w jego wieku szło na teologię do Klerykowa i sobie chwaliło. Postąpił jak rozrzutnik. Oto gest godny indywidualisty i naprawdę silnego charakteru. Bądź co bądź postąpił odważnie. Kto mu zaręczy, że jest naprawdę poetą, a nie zwykłym śmiertelnikiem, kabotynem i niebieskim ptakiem, któremu się nie chce pracować? Wzdrygnął się, czuł siły w sobie, z którymi pójdzie wszędzie. Wierzył, że tak nie jest.

Wszyscy podjudzali ojca, żeby go wygnał, bo wstyd, ludzie się śmieją. — O właśnie! Ojcu i matce tylko o opinię chodziło. Stąd też ciągle robili mu awantury, wyzywali go, drwili zeń. Szyderstwom nie było końca.

Pokazywało się, jak wygląda miłość rodzicielska w praktyce, w chwili, kiedy syn cierpiał. Gdyby mógł gdzieś uciec, samby się dawno już wyniósł z ich domu. Toteż pogardzał nimi. Wykluczył ich raz możliwie na zawsze ze swoich dawnych uczuć.

Pogardzać człowiekiem, to znaczy przekreślić go z góry, raz na zawsze, uważać go za straconego, stwarzać między nim a sobą dystans większy niż ten, który Boga dzieli od człowieka.

Ze strachem spostrzegł Adam, że on tak właśnie przekreśla miłość ku rodzicom, ich samych, ojca zwłaszcza. Zresztą wiedział, że ojciec nawzajem go nienawidzi. Lżył go przecież na każdym kroku, że musiał chować się po kątach.

Pożycie w domu stawało się coraz niemożliwsze. Gdzie się tylko ruszył, odprowadzało go złe spojrzenie. Uszczypliwe docinki nie kończyły się.

— A ty hyclu bez honoru! Ludzie się z ciebie śmieją i z nas!

Chciał się już raz z tym załatwić. Jeśli dla krewnych był zakałą i pośmiewiskiem i jeśli wytykają ich palcami przez niego, to pójdzie sobie. Ale wiedział, że ojciec mu nic nie da na tę drogę.

W oszczędnościach miał Adam zaledwie trzydzieści pięć złotych: piętnaście od rektora Grocha a dwadzieścia od Marszałki. Te ostatnie przeznaczone były pierwotnie na komeżkę. Kobiecina dała mu swoje oszczędności niebezinteresownie. Śmiał się z Marszałki, a przeznaczył sumę na swój jedynie użytek. Domyślał się, o co jej chodziło. Chciała jeszcze nawrócić go na księdza — naiwna naprawdę baba. Prawdopodobnie ojciec ją do tego namawiał, bo sam za hardy i za dumny, żeby Adama prosić o powrót do Klerykowa. Do jakich to wybiegów się już uciekał, pojęcie przechodzi. Ale trafił na mądrzejszego od siebie, oho!

Zresztą z tą komeżką miała się rzecz bardzo tajemniczo i rzucała ponure światło nie tyle na ojca, ile na ofiarodawczynię.

Marszałka trudniła się akuszerią i jak zwykle w takich wypadkach na starość zrobiła się strasznie pobożną osobą. Ojciec znał ją jeszcze z dawnych lat. Była ładną dziewczyną i pono kochała się w ojcu. To jej nie przeszkadzało bywać u niego przy powiciu dzieci z córki Zdebia, którą wybrał za żonę.

Ostatnio ojciec stale siedział u Marszałki, odkąd tylko zaczęła słabować na piersi i tam uknuł się plan podstępny. Pewnego mianowicie wieczoru przyszedł Kuba z wieścią, że Marszałka ma się gorzej, że po księdza nawet posłano i coś tam gadał, że Adam powinien odwiedzić chorą, bo to przecież kobieta znajoma z przyjacielstwa, a zresztą ona ma z nim do pomówienia.

Adam mógł nie usłuchać, ale wstał i poszedł. Zastał sąsiadkę w łóżku, dyszącą ciężko, ale wcale znów nie wyglądającą na to, żeby miała zaraz umrzeć. Więcej było udawania w tym, niż rzeczywistego cierpienia. Marszałka zapytała, czy wie, po co go wołano. Nie, Adam stanowczo się nie domyślał. To, że ją z jego ojcem łączyła stara przyjaźń i że czasem zaglądała do ich domu, nie wskazywało bynajmniej na to, żeby czuł względem niej jakiś wyjątkowy szacunek ponad to, co się każdemu należy.

— A więc — ona tak zaczęła — czuje się coraz słabszą, pewnie już z łóżka nie wstanie, jest bardzo stara.... Zawsze się cieszyła, widząc Adasia Kubowego w sutannie kleryckiej, w której mu tak ślicznie.

Trzepała i trzepała, ale nie przerywał.

— Wielka to radość dla całej wsi i zaszczyt, kiedy rośnie nowy ksiądz. Teraz smuci się, że tak niespodzianie Adaś wrócił, lecz myśli, że to tylko chwilowy urlop Nie wierzy ludzkiemu szczekaniu.

— Tak! — zgadzał się z nią Adam. — Jestem chory, cierpię na nerwy i muszę odpocząć.

— O, kto dziś nie cierpi na nerwy — uspokajała go. — To jednak minie — i ona zawsze prosi w pacierzu, żeby Adaś wrócił, jak tylko się skończy z tymi nerwami... Zaczęła kaszleć. Już ona nie doczeka tej chwili, kiedy będą jego prymicje, nie, ale chciałaby mu dać od siebie jakąś pamiątkę. Oto uskładała dwadzieścia złotych — leżą właśnie na stole — niech sobie weźmie od niej i kupi komeżkę. Gdy ona umrze, to może kiedyś przynajmniej Adaś, będąc już księdzem, westchnie za jej duszę do nieba.

Była to propozycja tak niespodziewanie dziwna, że Adamowi dech odebrało. Nie wiedział, co odrzec. W pewnej chwili uczuł nawet, że to zbyt wzruszające i że ta staruszka szepcząca w chorobie to strasznie dobra kobiecina; oto ostatni grosz oddaje dla niego — łajdaka. Ale prędko się powstrzymał. Zabrał pieniądze ze stołu, jedne w całym papierku, i mrucząc coś na podziękowanie, pocałował akuszerkę w rękę i odszedł.

W domu wzruszenie go opuściło nagle jak z wiatrem. Ba, co więcej, zaczęło mu się to wszystko nie podobać. Wietrzył podstęp. Hej, to był na pewno wybieg ze strony ojca, który okrężną drogą chciał zmusić go do powrotu na teologię. Oszukali go, a on gotów był rozpłakać się. O podli!

O tym, że był to rzeczywiście podstęp, przekonał się już wkrótce, kiedy w domu nic nie wspomniawszy o wizycie u Marszałki, pieniądze zamknął w szufladzie stolika i jakby nigdy nic, zapowiedział, że mu się nawet nie śni teologia. Ojciec wtedy skoczył jak wściekły i krzyknął:

— Złodziej! Złodziej! — i wypadł z domu bez czapki.

Poznał Adam, że to zaciekłość okrutna. Ojciec przegrał i to doprowadziło go do takiego rozdrażnienia. Wiedział o wszystkim. Adam chciał pójść natychmiast i zatkać babie pysk jej dwudziestoma złotymi, żeby się udławiła. Po chwili zastanowienia się jednak poczekał. Właściwie, kiedy się ta sprawa tak przedstawia, to głupi by był, gdyby pieniądze oddał. To jest podłość ze strony akuszerki i ojca. Dobrze im tak, niech cierpią! I w nim się upór budził.

WŁADYSŁAW MILCZAREK

AKWARELĄ

Biała chałupa, cztery okienka
dwa patrzą na wschód, dwa na południe,
w ogródku malwy, słonecznik, mięta,
a obok żurau zagląda w studnię.

Kawałek płotu przy sadzie drzemie
na płocie garnki schnące po mleku —
zagląda słońce — kładą się cienie
i wykwitają złote wypieki. —

Zieleń łagodna, biel niebieskawa
u studni wyblakła ultramaryna;
strzecha, słonecznik — refleks złotawy
u ogródku fiolet, centki karminu. —

Cienie, półcienie, gamy kolorów
boski artysta nasyca, zmienia
i jak na białej karcie papieru
maluje pejzaż swego natchnienia.

ZYGMUNT SIERP

WIECZOREM WIEŚ

Gdy wieczorem obejścia zmrok doszczętnie wyścieła
lampy od sąsiadów tną drogę na poprzek —
z soboty na niedzielę czas się tu zatrzymuje,
byś mógł duszę wygadać, której tydzień nie dostrzegł—

chłopską duszę o zmianach zwykłych, czterech pór
roku,
co liściem się bierze na kamiennej perci,
co burzą się zapładnia, lub też rodzi się ciszą,
by chciwej sygnaturce
ulec
bezradnością śmierci.

Wieczorem nietoperze, czarne gołębie nocy
piszą po ciemnym niebie hieroglify biczów,
na które wieś patrzy gasząc lampki naftowe,
by snem znieruchomić obrazy co krzyczą.

W najbliższych numerach
sprawy teatru ludowego
Oświaty

FELUCH JÓZEF

KOLUMNA MŁODYCH

W OSTATNIEJ CHWILI

Opowiadanie Felucha jest na terenie pisarstwa ludowego unikatem, gdyż jest ono jakby brulionem noweli psychologicznej, a ten typ nowelistyki nie cieszył się popularnością wśród pisarzy chłopskich. Feluch nie potrafi jeszcze należycie organizować materiału i dlatego zamiast zwartej, skonstruowanej noweli dał dość rozwlekłe opowiadanie. Umie on jednak operować zupełnie poprawnie zdaniem i wywołać zamierzone efekty. Świadczy to już o dość wysokim stopniu opanowania tworzywa pisarskiego. Drugą wybitną zaletą Felucha, jest unikanie bezpośredniej wypowiedzi ideologicznej, którą jednak zupełnie wyraźnie wyczytać możemy z samego rozwoju akcji opowiadania.

— — — — — — — — —

Człowiek nie może docenić wartości rzeczy powszednich póki nie spojrzy z perspektywy czasu utraconego na obcowanie z tą rzeczą. Marczak czuł to dobrze, gdy teraz patrzał na swój dom. Jak wielką przeszedł wędrówkę pomiędzy obcymi ludźmi, jak straszne dni pozostały już za nim. Jeszcze teraz, gdy przymknął oczy, widział ciernistе, niezliczone pasma drutów kolczastych, okrążających skrawek ziemi, gdzie spędzono gromadę ludzi. Dawniej byli to ludzie, lecz straszliwa machina obozowa powoli przerabiała, odciągała, jak diabelska centryfuga, wszystko, co było w nich ludzkie, aż zostawiła tylko piekło zmysłów, powoli a bezustannie ich spalające. Marczak wtedy nie wytrzymał. Zaryzykował tę resztkę nędznego życia, jaka była przed nim, i uciekł. Potem już za drutami znów nadała mu kierunek zwykła ludzka tęsknota za swoimi, za domem.

Ale teraz, gdy stał już u celu swej wędrówki — zabrakło mu nagle sił, aby przekroczyć próg. Bał się ujrzeć żonę, dzieci, czuł, że nie wytrzyma, że coś zaraz się w nim zarwie i pęknie z tak nadmiernego szczęścia. Stał jak skamieniały. A wszystko było takie cał błędnym wzrokiem wkoło. A wszystko było takie samo. Stodoła z nadmurszałą i porośniętą mchem strzechą obora z strzaskanym tynkiem i kupa nawozu przed drzwiami, i dom był ten sam, wymarzony w bezsennych, zgniłych obozowych nocach. W oknach stały jak w dzień ślubu pelargonie z małymi delikatnemi kwiatkami, a różowe firanki zasłaniały wnętrze. Po podwórzu chodziły kury i grzebały, jak dawniej w śmietniku. Pies drzemał pod obora. Marczak zawołał cicho, prawie szeptem: — Burek, Burek...

Pies uniósł łeb i nagle zerwał się, gwałtownie ujadając.

Na szczekanie psa wybiegła z domu mała dziewczynka i szybko cofnęła się spowrotem. Nie zauważyła nawet, jak Marczak uśmiechnął się do niej.

Teraz z domu wyjrzała młoda kobieta i przysłoniwszy oczy ręką patrzała na niego. Marczak potarł zarośniętą brodę i postąpił naprzód...

***

Gdy obudził się pierwszy raz, był już rozebrany i leżał na łóżku. W pewnym oddaleniu stały dzieci z wystraszonymi minami.

Uśmiechnął się do nich. Mały Wojtek wyjął palec z ust i zastygł w zdziwieniu wybałuszywszy wielkie, niebieskie oczy. Starsza Halinka przysłoniła wstydliwie oczy ręką i spozierała z poza Wojtka bojaźliwym, wystraszonym wzrokiem.

Matka odbiegła od kuchni i usilnie namawiała:— A no przywitajcie się z ojcem. A no, Halinko, nie wstydź się, no, Wojtek prędzej. To ojciec, nie bój się.

Dziewczynka zbliżyła się do niego z wciąż zasłoniętymi ręką oczami i uśmiechając się nieśmiało — pocałowała go prędko w rękę.

Marczak ujął jej główkę i przyglądał się z uśmiechem: — Ale ona jest podobna do Ciebie. — A potem do dziewczynki: — nie poznałeś mnie, co?... — Skinęła przytakująco główką.

Wojtek już ośmielony wspinał się na palce i też się chciał zapoznać z nieznanym człowiekiem, który odtąd miał nazywać się ojcem.

Marczak śmiał się do dzieci i starał się je zabawić, ale uśmiech wychodził mu dziwnie gorzki.

Marczak rozmawiał z żoną. Mieli tyle do opowiedzenia sobie, tyle życia upłynęło tu bez niego, tyle dni smutnych i w ciągłym oczekiwaniu jego powrotu przeminęło i ten jego powrót wymarzony we snach, kiedy teraz stał się rzeczywistością... aż nie do wiary. Mówiąc dotykała delikatnie jego skosmaconych włosów. Gdy skończyła już o sobie i dzieciach, przyszła na niego kolej. Ale on dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie może. Wyglądało to tak, jakby nie miał żadnych wspomnień i nic nie przeżył. A przecież czuł w sobie ten nadmiar wspomnień, miał nimi wyładowaną pamięć, gnieździły się w nim i kłębiły jak plugawe, obmierzłe robactwo. Czuł wstręt do tych wspomnień. Powoli je rozplątywał, wyciągał kolejno jak nitkę z kłębka. Starał się mówić, co czuł w sobie, ale słyszał, że to, co mówi, jest dziwnie blade i nie prawdziwe, tej prawdy nie mógł i nie potrafił wypowiedzieć, to było tak niezrozumiałe i straszne, że brakowało mu wyrazów na określenie tych wrażeń. Napróżno silił się oddać wierny sens tego, co miał wyryte w pamięci. To, co wychodziło mu z ust, było tylko zwykłą gadaniną. Ale żona ściskała mu dłoń, jakby upewniając, że wyczuwa niedomówienia.

Przestał mówić. Tak w ciszy, gdy słychać tylko szelest bicia serca, łatwiej jest zrozumieć drugiego człowieka. W ciszy monotonnie tyka zegar, a przez okno widać palące się na zachodzie zorze. Zmierzch sadowi się po kątach i osłania sobą świat. W uszach szumi cisza; świat traci swe kontury, rozpływa się w mroku i odpływa gdzieś na falach snu.

***

Pierwszą tę od lat noc Marczak przespał spokojnie. We snach tylko błąkały się obrazy przeszłych dni. Obudziło go słońce. Stało w oknie i lśniło całą swą letnią wspaniałością. Koło kuchni krzątała się żona i po cichu przesuwała garnki. Spojrzała na niego i zbliżyła się ostrożnie, na palcach, by go nie przebudzić. Przez szyby wciąż patrzyło mu prosto w oczy słońce, a pelargonie, rozpierające się na oknie, rozkwitały różowymi, delikatnymi kwiatuszkami.

Żona wyszła już z domu. Pewno kury rozgdakane wypuszcza teraz z chlewka, albo krowie daje zieloną, pachnącą rosą seradelę. Marczak poruszył się. Słyszy nawet jak krowa ryczy i jak kury z gdakaniem wypadły z chlewka i rozlatują się po podwórzu. Kogut wydziera się w niebogłosy. „Pewno na pogodę", myśli Marczak sennie. „Trzeba się będzie do roboty wziąć, bo lato..." — przelatuje mu jeszcze przez głowę i znów zasypia.

***

Budzi go nagle szarpanie i przerażony głos. Ten głos odnawia w nim gdzieś tam ukryty strach. Dawniejszy zwierzęcy strach. Nad nim stoi żona roztrzęsiona — nie potrzebował tłumaczeń. Zrozumiał. Stał już na podłodze i gorączkowo nadziewał swoje swoje łachmany. Ręce mu drżały. Uczuł pustkę w sobie wypełnioną tyklo tym strachem nadpływającym z przeszłych dni.

Wyskoczył z domu i stanął rozglądając się bezradnie. Żona popchnęła go naprzód i szeptem, jakby ją kto podsłuchiwał, powiedziała prędko: — „Tu, tu... w styrtę zagrzeb się mocno... w tę jamę..." — nie mogła mówić dalej i dokończyła tylko ruchem rąk.

Gdy Marczak był już zagrzebany w słomie, żona jeszcze się nachyliła i powiedziała nieswoim, nabrzmiałym przerażeniem głosem: — A bądź cicho, nie poruszaj się... Ja cię sama zawołam. — Poczem starannie zasunęła go słomą i odeszła do domu, raz jeszcze rzucając wzrokiem na drogę.

Byli już koło domu. Trzech żandarmów, dwóch policjantów. Wpadli do izby i napełnili ją krzykiem: — Matko, gdzie ojciec? — Marczakowa odwróciła się od kuchni i powiedziała powoli, głosem, w którym było zdziwienie: — Jaki ojciec: Męża wzięniście dwa lata temu i dotąd go trzymacie...

— A... matko, mówcie prawdę. My wiemy, że on do was przyszedł w odwiedziny. Nie zapierajcie się, bo dla niego gorzej.

Marczakowa uniosła głowę i już z dumą odpowiedziała im ostro: — Męża tu nie ma. Dajcie mi spokój — i odwróciła się do kuchni przestawiając parujące garnki.

Żandarmi naradzali się ze sobą. Policjanci stali z boku i neutralnie zachowywali milczenie. Z podwórza wleciała Halinka z Wojtkiem i stanęli przy drzwiach jak wryci na widok żandarmów. Jeden z żandarmów zbliżył się do dziewczynki i głaskając ją po wzburzonych wiatrem włosach, starał się uśmiechnąć, wykrzywiając tłustą, czerwoną twarz w przyprzyjemny grymas, przy tem mówił słodkim głosem, nachylając się tuż do twarzy dziewczynki: — Powiedz, malutka, tatuś już przyszedł do domu? — mówił tak czysto po polsku, że Marczakowa odwróciła się od kuchni i wpiła wzrok przerażony w córkę. Dziewczynka uniosła wystraszone oczy na Niemca i opuściła je zaraz nic nie mówiąc. Żandarm ujął ją pod brodę i mówił, wciąż starając się uśmiechać: — No, powiedz, nie bój się... — Ale teraz dziewczynka wyrwała mu głowę i z płaczem uciekła do matki chowając główkę w fałdy matczynej spódnicy.

Wojtek stał z wybałuszonymi oczami i patrzał na tych dziwnych dla niego ludzi.

Żandarm zaklął i, już całkiem rozłoszczony bełkotał coś do towarzyszy. Poczem wszyscy wyszli na podwórze. Policjanci podążyli za nimi. Marczakowa przypadła do okna i wpijała się wzrokiem w każdy ich ruch. Ale żandarmi nie szli do sterty. Porozdzielali się i pojedyńczo już zaglądali w każdy ciemny kąt. Weszli na strych, byli w oborze, zaglądali pod żłoby i wchodzili po drabinie aż pod sam szczyt stodoły; macali bagnetami słomę i klęli coraz głośniej. Jeden nawet zajrzał do studni, a potem patrzał uważnie na liściaste korony kasztanów obok stojących. Weszli wreszcie na stertę. Odgrzebywali słomę, dziurawili ją bagnetami. Marczakowej wtedy wszystka krew uciekła z serca, a w głowie czuła łomot i huk pulsu. Ale odeszli i Marczakowa uczuła nagle wprost wdzięczność dla nich...

Marczak leżał w swej skrytce jak nieżywy. Brakowało mu tchu, dusił się. Przez małą szparę w słomie widział zielone plamy mundurów i ten widok wywoływał z pamięci koszmarne widziadła minionych dni. Przestał nawet myśleć. Cały zamienił się w oczekiwanie. Jak tropiony lis w norze, zamienił się w słuch i czuł całym sobą każde stąpnięcie prześladowców. Słyszał szelest przewracanej słomy nad sobą i wtedy zrozumiał, że to już koniec nadchodzi, ale koniec nie nadszedł, szmer słomy ucichł i stąpania się oddaliły. — Marczak odczuł niesłychaną ulgę, odetchnął całą piersią. Przez szpary w słomie widać było skrawki podwórza, chodziły tam ze skrzekotaniem kury. Wielki biały kogut machał skrzydłami i piał. Przez głowę Marczaka przemknęła myśl: „Pewno pogoda dziś będzie". Starał się sobie przypomnieć przy jakiej okazji myślał już o tym samym, gdy nagle białego, wciąż piejącego koguta przesłoniła ciemna zielona plama. Kogut przestał piać, a do uszu Marczaka doleciały przekleństwa i szuranie butów. Znów zatrzymał w sobie oddech i zesztywniał cały w oczekiwaniu.

Fala poczucia niebezpieczeństwa znów nadpłynęła i opanowała go całkowicie. Czuł każdy ruch butów, słoma szeptała mu szmerem o każdym szurgnięciu. Po czole spływały wielkie krople potu i oblewały ukropem całe ciało. Zdawało mu się, że jest w jakimś wrzątku. Błędnym wzrokiem wpatrywał się w wirujące w smudze słońca pyłki kurzu. Było ich tak dużo, że tworzyły jedno złote pasmo. Marczak począł liczyć wirujące pyłki. Poczuł, że nie wytrzyma tak długo i chciał skupić się na tym liczeniu. Ale nie mógł ich policzyć — pyłki uciekały wciąż i ginęły w szarości jego nory.

Przestał liczyć. Na myśl wtedy mu przyszło, co też żona tam robi. Pewno śniadanie już ugotowała. Pamięta, że jak wychodził z domu, to kartofle stały ugotowane. Myśli mu się wciąż rwały; nie mógł sobie dać z nimi rady.

Patrzył nieprzytomnie przez małe otwory w słomie i widział poruszające się, upiornie zielone kawałki munduru. Tak straszną nienawiść zmieszaną z śmiertelnym lękiem czuł do tego kawałka zwykłej materii, jaką tylko może czuć człowiek prześladowany do swego oprawcy. Stamtąd, z poza wątłej ściany słomy dochodził znienawidzony bełkot.

W pewnej chwili zielony kawałek munduru zaczął się zbliżać ku niemu i zasłonił sobą wszystko. Marczakowi wydało się, że już umarł i że wobec tego nic go to już nie obchodzi. Serce było jak kawał lodu, choć biło tak mocno, że przyciskał je ręką, by zagłuszyć łoskot, od którego pękała mu głowa. Poza myślami coś go trzymało jednak nadal na uwięzi i nie pozwalało mu się zdradzić najmniejszym ruchem. Im bardziej słabł na siłach, tym bardziej rosła ta potęga. Był to zwierzęcy strach o życie. Sponiewierany i zniszczony przeżyciami nie mógł zdobyć się na bohaterstwo zapanowania nad sobą w sytuacji bez wyjścia. Przez cienką warstwę słomy widział obecność tamtego i czuł, że każdy mimowolny ruch mógłby być wyrokiem dla niego.

Żandarm nie poruszał się. Stał w miejscu i coś mówił do drugiego. Marczak nie rozumiał dobrze po niemiecku, wyłowił jednak z tej rozmowy ten sens, że porzucają poszukiwania i że wrócą tu jutro. To go napełniło nadzieją. Powoli sączyła się w niego radość uratowania; poczuł ulgę i odetchnął głęboko, jakby już wszystko należało do przeszłości. Zielone plamy poruszyły się i poczęły odpływać powoli, a wraz z nimi odpływał niepokój.

Marczak wyprostował skostniałą nogę i poruszył się.

I wtedy — stała się rzecz nieoczekiwana.

Maleńka słoma popchnięta nieostrożnym ruchem wwierciła się w nos. Zaświerzbiało straszliwie, nie do wytrzymania. Marczak złapał się za nos i wił się w słomie ale nie wytrzymał. Wybuchnął nagle stłumionym parskaniem raz po raz, jeszcze raz... i jeszcze.

Żandarmi stanęli i nasłuchiwali, a potem już jak ludzie, którzy zrobili nadzwyczajne odkrycie, rzucili się do słomy.

***

Nie zobaczył już żony, która ujrzawszy go pomiędzy żandarmami, padła bez czucia na łóżko i nie słyszała nawet jak dzieci zbliżyły się do niej zaniepokojone i szarpały ją krzycząc.

Słońce wyszło z za chmury i padło na podłogę złotą plamą, a kwiatki pelargonii znów zajaśniały jak w dzień ślubu, jak dziś jeszcze, a pewnie zajaśnieją tak i jutro, i po jutrze i... opowiadać już dalej nie każ mi, czytelniku.

Helena Wielowieyska

„Leśnymi oczami"

Wydany ostatnio w Krakowie tomik poezyj Władysława Machejka pt. „Leśne oczy" jest interesującym zjawiskiem tak literackim jak społecznym. Młody autor wystąpił z książką, stawiającą go odrazu w rzędzie dojrzałych artystów i ludzi o zdecydowanym światopoglądzie społeczno-politycznym.

Bo wiersze Władysława Machejka to nietylko liryki o silnym napięciu osobistego wzruszenia i nietylko liryki patriotyczne. To także, a może przede wszystkim wyznanie wiary młodego partyzanta. Społeczne i polityczne manifesty, w których w zdaniach skróconych i pełnych napięcia wyrażą się jego postawa wobec każdorazowej rzeczywistości polskiej: przedwojennej, okupacyjnej i już wyzwolonej — ale nieokrzepłej jeszcze od wojennych wstrząsów, których echa dochodziły nas z nieprzełamanej jeszcze linii Odry.

Według tego mniej więcej schematu podzielił autor swój tomik. Pierwsza najszczuplejsza część książeczki to cykl wierszy zatytułowanych wspólnie „Krwawe widnokręgi" i drugi, „Śpiewam koło pól". Cykl „Krwawe widnokręgi" zawiera wiersze pisane przeważnie tuż przed wojną; są to krótkie i mocne manifesty walki klasowej chłopów w Polsce z przed 1939 r.

„Siebie oddam na afisz ma chłopska ojczyzno,
mój wiersz na gońca."

Tak przedstawia siebie i swoją poezję zaraz w pierwszym wierszu zatytułowanym „Ziemia wschodzi", by parę stron dalej w „Racławicach 1937", wierszu o mocnych akcentach okrutnego proroctwa zbliżającej się wojny nawoływać:

„Niema czasu. Na Zachodzie o pośpiech wołają łuny.
Czas by się Polska we wsie wrosła,
by im się nie śniła —
w ręce karabiny wsunęła — miast drągów i kłonic."

„Śpiewam koło pól" — to cykl liryków osobistych. Te liryki osobiste, nie posiadające silnego emocjonalnie wydźwięku społecznego i politycznego reszty utworów tomiku, są właściwym sprawdzianem talentu i opanowania rzemiosła. Władysław Machejek stylem swoich utworów zbliżony jest bardzo do grupy przedwojennych autentystów z „Okolicy Poetów", ale autentystów którzy jak Józef Andrzej Frasik naprzykład przeszli w młodości twardą dyscyplinę krakowskiej awangardy. I chociaż w tym cyklu Machejek jest może najmniej samodzielny, to jednak ma w nim jawne świadectwo dojrzałości, certyfikat uczciwego poziomu. Bo tutaj nie zaskuje nas emocjonalnie tematem jak w wierszach partyzanckich, nie może obezwładnić nas uczuciowo jak w wierszach patriotycznych czy społecznych. Tu tematem jest przysłowiowa z czasów przedwojennych dyskusyj „główka kapusty", tu podstawą wzruszenia może być tylko dobra robota poetycka.

Cykl wierszy *partyzanckich* „Leśne *oczy*" jest ilościowo najbogatszy i *najoryginalniejszy, chociażby ze* względu na temat i on nadaje ton całemu tomikowi. Mało było poetów między partyzantami. A właściwie dotychczas jeden — właśnie Władysław Machejek. Machejek jest artystą. I to artystą bardzo wrażliwym i subtelnym, którego wiersze partyzanckie wzruszają tak samo wtedy, kiedy mówi o walce i śmierci, wojnie i bohaterstwie, jak wtedy, kiedy stwarza wizję leśnego czy polnego pejzażu, tła dla dziejących się zdarzeń. To tło, ten polski, znajomy pejzaż nie jest właśnie tłem, tylko właściwym tematem— bo w nowoczesnym wierszu nie może być obojętnego tła — i Władysław Machejek, stosując się do tej i wielu innych zasad nowej poetyki jest najzupełniej nowoczesnym poetą.

Wzruszający miłością synowską wiersz „Czy wiosna?" ma wyraźne filiacje z poezją Juliana Przybosia, a równocześnie przedstawia się jako typowy, według zaleceń Tadeusza Peipera rymowany co cztery wiersze poemat awangardowy. Obrazowanie jednak jest charakterystyczne dla poetów autentystów, którzy elipsy używają nie tak często i mniej radykalnie. Formalnie Władysław Machejek należy do pokolenia najmłodszych poetów, którzy w pracy nad własnym stylem przechodzą równocześnie drogę już przebytą przez swoich nauczycieli, dochodzą do już osiągniętych celów szybko i pewnie — ale narazie nie sięgają jeszcze po nowe zdobycze wersyfikacyjne.

Nr 11 „Wsi" zawierał: Jan Szczepański: **O nowym chłopskim bohaterze** — Józef Andrzej Frasik: **Planowy odjazd — Krzyże kielecczyzny**, Różan: **Listy nauczyciela z konspiracji** — Stanisław Wójcik: **Ojczyzno moja** — Jan Plesiński: **Na tułaczce w ciemnych borach** — Stanisław Bojarczuk: **Do hołoty** — Leon Pokora: **Lud mówi, Nasza wolność** — Irena Piecówna: **Przyjście, Piosenka dziewczęcia** — Witold Zalewski: **Polska droga** — Paweł Kubisz: **Rebelija goroli w Mostach** — Zygmunt Kałużyński: **Ruchy chłopskie w XVIII wieku w Polsce** — Dr doc. U.J. Spytkowski: **Maciej Szarek — nestor pisarzy i działaczy chłopskich** — Maciej Szarek: **Pamiętnik chłopa** Stanisław Skoneczny: **Pamięci przyjaciela, Obława** — Wiesław Jażdżyński: **W partyzantce nie jest źle** — — Stefan Lichański: **Poeta-żołnierz** oraz kroniki i komunikaty.

Władysław Machejek

OCZY ZADRŻĄ

Zapaliły się pąki róż na czerwono
i
jakby draśnięty nagłym przypływem krwi,
czworobok szarych chałup wstał.
Wiatr się wzdął w piersiach. Buchnął. Wionął.
Noc .o — —.
Tusz brwi
jak żandarm na dworskich polach drżał.
tytanami naciskał w rzegot,
rzegotały erkaemy,
waliły pepesze
opodal.
Krztusi partyzant wyrok, nim w gwiazdy poniesie,
i ziemie poda.
(Słucham:
naprzeciw dwór brunatną Polskę karmi
bezrzęsą linią blaszanych oczu,
niebieskawym szturmem żandarmów).
Wymierzy chłop działy w lesie,
wymierzy spodlona jucha.
Jaskrawy ptak wieców nie pomógł,
pomogą
pepesze.

Sierpień, 1944

Władysław Machejek

ZIEMIA WSCHODZI

Długo spałem. Aż stuknęła we mnie struga ziarna,
obkukała moje narodziny. Jeszcze paruje, jeszcze
woła — —
Czym jesteś? Mam żyły czarne i ty we mnie
rośniesz czarna
płotką, dziewięciornikiem, jagodą jemioły —
dokoła.
Dziś okrywasz się głogiem kolczastym i blizną
i za lada szelestem:
— Ojczyzno moja, Ojczyzno,
jestem!
Siebie oddam na afisz ma chłopska ojczyzno,
mój wiersz na gońca.
Niech na tłustych brukach szumią oraczyzny,
eksploduje świattość słońca.
Jestem w noc i dzień. Szamocę się w więzach
oddechem w zielonej runi.
Jestem w ranach, kolędzie i pieśni.
Już słyszę jak mówi brauning,
gdy manifestem w dłoni się rozwieśni.

1938

Piotr Ziarnik

Przed burzą

Na polach stały armie kopic nieruchome — żołnierze na stanowiskach. Pomyślałbyś: pułkami, batalionami ciągną w tyralierach, rojach atak na zwały wzgórz ukoronowane ciemną zielenią zagajników na szczytach.

Pojedyńcze grupy czołowe przypadły na pozycjach tuż u przedgórza — na ostatniej płaszczyźnie ściernisk.

Napięta chwila przedwieczornej, parnej ciszy denerwowała nadbiegający moment rozkazu.

Nagle — przeciągnięta do konwulsyjnego wyżu nudy rozpadła się, rozbita serją dźwięcznego terkotu: osełka na ostrzu kosy zagrała stłumiony daleki sygnał.

Zgrzytliwy, rytmiczny głos chrapliwego marszu szedł za nią nisko twardymi susami.

Obudziły się te głosy w wielu miejscach zaplecza i bliżej — w centrum pozycji. Za chwilę pojedyńczo wybiły się zgrzytliwe tuż za czołówką.

Ciemniejące niebo zachodu rozwarło się u dołu wąską błyskawicą; artyleria ziewnęła przeciągle — potoczyście. Huk zakolebał się i rozbił na drobne, ścichające pomruki w wąwozach obleganych wzgórz.

Na polnej drodze zaterkotał jazgot strzałów:— wstęga nierównych trzasków: wóz ześlizgiwał po szprychach i obręczach suche detonacje.

Baterje na tyłach błyskały wężami ognia i grzmiały zbliżającą się kanonadę.

Nagle tuman wiatru hucznym spadem uciszył wszystko wokół.

Szum plątał się górą początkowo, a potem spadł nisko — między pozycje: na kopice i mendle. Poderwał tumany szału i powichrzył je.

Załopotał porwanymi garściami żyta. Wyniósł je wysoko i wiał kłosianymi sztandarami.

Atak rozszalał.

1944 r.

Z dziennika podróży na Dolny Śląsk

22/IX.

We Wrocławiu widać wiele osiadłej już polskiej ludności, widać i Niemców z białymi opaskami na ramionach.

Co chwila do naszego auta podchodzi jakieś niemieckie dziecko z prośbą o chleb. Ileż współczucia wzbudzałoby w człowieku, który nie widział zmarzniętych na śmierć trupów dzieci lubelskich czy warszawskich? Ale właśnie przechodzi polska wiejska kobieta z bańką mleka na plecach. Krzycze radośnie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Odwraca się: „Na wieki wieków amen".

„Skąd pani jest?"
„Z pode Lwowa".
„Jak dawno tutaj?"
„8 tygodni".
„Na gospodarce?"

„Tak, w pięć rodzin mamy 400 morgów, tylko nie możemy dać rady obrobić!"

Nareszcie nasz chłop ma ziemi do syta i nareszcie przekona się sam, że nie można jej mieć więcej, niż się da radę obrobić własnymi siłami.

Wyruszamy dalej do Lignicy. Jedziemy teraz wspaniałą autostradą Wrocław—Berlin. Krajobraz ciągle nizinny. Pogoda poprawia się nieco. Otoczenie zaczyna nabierać barw. Krajobraz zaczyna mnie czymś niepokoić. Przez dłuższy czas nie mogę sobie uświadomić źródła niepokoju. Wreszcie je odkrywam. Oto gdzieniegdzie łany pszenicy i żyta stoją na pniu. Bardzo spłowiałe od słońca i powalone. Gdzieniegdzie przecina je czerń. Nie jest to jednakże czerń podorywki, tylko pole nasiennej koniczyny. Zaczynam się bacznie wpatrywać w mijane pola. Na szczęście widzę coraz więcej ściernisk i podorywek.

Raz po raz przejeżdżamy pod żelbetonowym mostem prześlicznej lekkiej konstrukcji. Oddycha się bardzo swobodnie. Nagle wyczuwam prawie niewidzialny masyw górski — to Góry Olbrzymie. Nikną one szybko, ale nastrajają dobrze na przyszłość. Dojeżdżamy do Lignicy.

23/IX

Po południu jedziemy z pełnomocnikiem Samopomocy Chłopskiej do naszych osadników. Wsie tutejsze nie różnią się prawie niczym od podmiejskich dzielnic willowych. Obok szosy biegnie wąska polna droga — jest również asfaltowana. W każdym budynku woda i elektryczność. W okolicy, przez którą przejeżdżamy, ziemia jest pszenno-buraczana o pięknej gruzełkowatej strukturze. Mimo doraźnego zaniedbania, zachwaszczenie niskie. Dojeżdżamy do wsi Kunice, położonej nad pięknym jeziorem. Oni idą do gminy, ja prosto na wieś.

Jak zwykle w pogodne niedzielne popołudnie, przed domami stoją kobiety z dziećmi. Patrzę na nie pytająco i ostrożnie, a one na mnie. Po tych pytających spojrzeniach poznajemy się. Zaczynamy się wzajemnie ściskać i całować. Są z małopolskiego i ze stanisławowskiego. Wołają mężów. Zbiera się na środku drogi spora gromadka. Tu i ówdzie z okien przyglądają się nam zaniepokojeni Niemcy. Rozmawiamy gorączkowo. Ludzie ci mają wielkie trudności, które znam i odczuwam bardzo dokładnie. Wysoki chłop ze stanisławowskiego chwyta mnie za ramię i woła przeciągłym głosem: „Pani, tak nie można, my przecież ludzie". Niektórzy zacinają się łkaniem. Mówię spokojnie i głośno:

„Ludzie, w tych dniach w Rzeszy, w miejscowości Paderborn, Anglicy skazali kilkudziesięciu Polaków na śmierć i dożywotnie więzienie za zabójstwo Niemców". — Odpowiedzią jest ogólny jęk.

„Ten nasz redaktor z Lignicy nie chce nawet o tym pisać w gazecie, bo mu wstyd przed Niemcami" — kiwają głowami potakująco.

„My Polacy musimy pamiętać, że sprawiedliwość jest tylko dla silnych. Ludzie! Nie damy się! Musimy tu założyć gminny Związek Samopomocy Chłopskiej. Prezes z Lignicy właśnie przyjechał. Pamiętajcie, za rok cała Polska nam będzie zazdrościć!"

Nie mogę nadążyć za pytaniami, idziemy do gminy. My przyjezdni wsiadamy z powrotem do auta, a tam w gminie już się zakłada Spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej. Wychylam się z auta i krzyczę: „A jak się już sami zorganizujecie, musicie organizować sąsiednie wsie!" Potakują skwapliwie.

ZOFIA PRZĘCZEK.

„PRZYJACIEL LUDU"

W nr 6 „Kuźnicy" w artykule „Półrocze Tygodnika Powszechnego" Jan Kott pisze:

W dwudziestu siedmiu numerach „Tygodnika Powszechnego" nie znalazłem ani jednego artykułu czy choćby nawet wzmianki o reformie rolnej, o upaństwowieniu kluczowych gałęzi przemysłu, o polityce walutowej rządu. Milczenie to jest wymowne.

Wymowne oczywiście w sensie kompromitującym dla „Tygodnika Powszechnego", ponieważ świadczy ono o braku zainteresowania najistotniejszymi zagadnieniami polskiego życia współczesnego. Źle coś z tym „Tygodnikiem Powszechnym"! Poszukajmy więc pożywniejszej i bardziej nowoczesnej strawy duchowej w „Kuźnicy". Szukamy, szukamy — i jakoś nic nie możemy znaleźć. O upaństwowieniu przemysłu — ani słowa, o polityce walutowej rządu — tyle samo, o reformie rolnej jeden (dosłownie: jeden) artykuł (w nr 2, Maria Fiederer: „Od wiśniowego sadu do kartofla przemysłowego"), czyli, że — jak lud polski mówi —: przyganiał kocioł garnkowi.

Ale trzeba podkreślić inne zasługi „Kuźnicy", zasługi wagi pierwszorzędnej. Chodzi nam tu o przezwyciężenie niezdrowego estetyzmu, który tak poważnie zagrażał zdrowiu duchowemu narodu. Dziś, po sześciu numerach „Kuźnicy", sytuacja uległa radykalnej zmianie. Ani jeden pastuszek nie idzie za krowami w pole z książką Gide'a pod pachą, ani jedna z wiejskich gospodyń nie przypala obiadu zaczytana w powieści Prousta, ani jeden z młodych literatów chłopskich proszący nas o pomoc w nabyciu książek nie wspomina o „Ulissesie" Joyce'a.

Zasługi to wiekopomne i czymże przy nich ta drobna okoliczność, że na krakowskim zjeździe literatów właśnie ideologicznym przyjaciołom Kotta najtrudniej było wytłumaczyć potrzebę odrębnej organizacji pisarzy chłopskich. Dziś problemy wiejskie wyciąga się z redakcyjnego lamusa „Kuźnicy", aby bić nimi po głowie „Tygodnik Powszechny".

Raz jeszcze odwołujemy się do ludowej mądrości: chroń mnie Boże od moich przyjaciół, bo z moimi wrogami sam sobie dam radę.

Parę słów o „Tygodniku Powszechnym"

„Tygodnik Powszechny" spotkało lanie w nr 6 „Kuźnicy". Lanie to może wzbudzać zastrzeżenia co do sposobu wykonania, ale nie powinno ono pozostać bez wpływu na krakowskie pismo.

Tak się bowiem podwawelski „Tygodnik" zapatrzył w sprawy wiecznościowe, metafizyczne, że jakoś nie dostrzega nowej polskiej rzeczywistości. A jeżeli czasem coś z niej redaktorzy duchowni i nieduchowni spostrzegą, to prawie na pewno będzie to coś przykrego i wzbudzającego zastrzeżenia.

Do osiągnięcia porozumienia potrzebna jest dobra wola. Jeżeli „Tygodnik Powszechny" nie chce ugrzęznąć w wiecznym narzekaniu i poprzestać na stawianiu znaków zapytania na marginesie dzisiejszej rzeczywistości, powinien ustosunkować się do niej w sposób bardziej rzeczowy i z większą dozą realzimu. Inaczej nic nie pomogą najświetniejsze nawet nazwiska: pismo rozminie się z bieżącym życiem narodu i tym samym unicestwi siebie.

O naszych przyjaciołach katolikach

Przyjaciele nasi twierdzą, że od czasu gdy tylu pisarzy chłopskich weszło do rozszerzonego komitetu „Wsi", staliśmy się ruchliwi i napastliwi, co zresztą przechodzi bez wrażenia na redaktorach owych wielkich organów narodowej opinii literackiej, do których zgłaszamy pretensje. Nie czytają i pogardzają. Dobrze, przyzwyczailiśmy się, poczekamy jeszcze.

I w tym numerze, na tej samej ostatniej stronicy, przyczepiamy się wytrwale do naszych grubych kolegów z kapitalistycznej prasy literackiej. Ale żeby znowu nam nie mówiono, że najwięcej sympatii objawiamy dla katolickiego „Tygodnika Powszechnego", postanowiliśmy poświęcić mu parę słów.

Ale cóż! Słowa muszą być ciepłe. Bo inaczej się nie da. Musimy czuć tkliwość dla owego pisma, które podobne jest do nas w tym, że ogarnięte manią niepopularną w „Odrodzeniu", „Kuźnicy", „Twórczości" itd. Oni o śluby cywilne, my o miejsce pisarza chłopskiego w Polsce; oni o konkordat, my o los literatury ludowej, oni o prawa człowieka i chrześcijanina, my o przyszłość młodego pokolenia intelektualistów chłopskich. Czy nie uderzająca analogia? Pojmujemy ich tak, jak szachiści brydżystów — mania nierozumiana przez nikogo, i współczujemy tak serdecznie jak nikt inny.

Tylko małe zastrzeżenie końcowe: żywimy gorącą nadzieję, że im się nadal i wciąż nie uda, a my może kiedyś... może wreszcie...

I. Sz.

Wolność słowa na cenzurowanym

Nr. 98 „Głosu Robotniczego" przynosi artykuł Jadwigi Siekierskiej pt. „O jaką wolność słowa nam chodzi?"

Artykuł nawiązuje do prowadzonej swego czasu w „Robotniku" dyskusji na temat wolności słowa na terenie wyższych uczelni. Problemem centralnym jest tu kwestia, czy zasada swobody wypowiedzi może objąć tych uczonych, którzy są politycznie „wątpliwi". Zdawaćby się mogło, że sprawa wolności słowa jest tak nierozdzielnie związana z pojęciem demokracji, że nie ma tu nad czym debatować. Autorka jest jednak innego zdania. Uważa ona, że ludzkość dzieli się na dwie kategorie: „postępowców" i „reakcjonistów", między którymi nie może być mowy o porozumieniu, a tylko musi się toczyć walka na śmierć i życie.

Jest to ujęcie sprawy spłycające i trywializujące problem. Nie ulega wątpliwości, że żadne zasługi naukowe nie mogą bronić przed represjami uczonego, który domagałby się np. usunięcia z audytoriów Żydów, komentowałby w sposób życzliwy ustawy norymberskie lub wzywałby do zamachu stanu. Żadne normalne państwo nie będzie tolerować roboty wywrotowej bez względu na to, kto i w jakich okolicznościach robotę tę prowadzi. To jest zupełnie jasne. Zasada lojalności wobec państwa obowiązuje uczonego tak samo jak sklepikarza czy dorożkarza.

Ale czy „demokracja" to pojęcie tak proste i jednoznaczne, by wykluczało ono możliwość różnorodnej interpretacji i różnorodnych form ustrojowych? Chyba nie. Kwestia kto jest „lepszym", a kto „gorszym" demokratą jest bardzo trudna do rozstrzygnięcia. Uprościć ją może tylko swobodna wymiana argumentów, która powinna doprowadzić do uzgodnienia stanowisk, o ile oczywiście dyskusja prowadzona będzie z jednakową dobrą wolą z obu stron i w sposób uczciwy. Żyjemy w stanie ciągłego prowizorium, w którym żadnej formuły określającej rzeczywistość ludzką i pozaludzką nie można uznać za ostateczną. Wiedza i praktyczne doświadczenie ludzkości mogą w każdej chwili rozbić najbardziej kunsztowny schemat teoretyczny, wprowadzając weń elementy nowe, do których ujęcia nie będzie on przystosowany.

Ale jest inna jeszcze sprawa. Co mianowicie zrobić z wybitnym fizykiem, biologiem czy medykiem, który wyznaje przekonania polityczne odmienne od aktualnie popularnych? Byłoby przecież szczytem niedorzeczności twierdzić, że jegomość „niepostępowy" politycznie nie może być bardzo postępowym w zakresie swojej specjalności naukowej.

Nauka i sztuka są w życiu narodu faktami zbyt doniosłymi, by ich rozwój mógł być ograniczony i określany przez doraźne fluktacje polityczne. Słowa „postępowy" i „reakcyjny" mają wartość bardzo względną i rzadko kiedy można z całą pewnością orzec, pod które z tych określeń podciągnąć dane zjawisko czy daną ideę.

Demokracji stanowczo nie zaszkodzi tolerancja i wolność słowa. Daleko groźniejszy jest dla niej duch sekciarskiego fanatyzmu i ciasnota pojęć. Nie może zaś być mowy o wolności słowa tam, gdzie tę wolność zastrzega się wyłącznie dla siebie i swoich najbliższych.

Otwarcie Instytutu Artystycznego w Kazimierzu Dolnym

Dnia 4 października 1945 r. rozpoczyna wykłady i zajęcia, organizowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Instytut Artystyczny w Kazimierzu Dolnym.

Dyplom ukończenia Instytutu upoważnia do pracy instruktorskiej w powiatach (referent kulturalno-oświatowy), świetlicach, związkach i organizacjach.

Podstawą i zasadniczą umiejętnością instruktora będzie teatr: inscenizacja, reżyseria, aktorstwo i organizacja zespołów ochotniczych. Ponieważ teatr zespala w sobie wszystkie rodzaje sztuki, instruktor będzie zorientowany w każdym z tych rodzajów, a więc: w muzyce, literaturze, plastyce i tańcu, tak by w sposób rzeczowy mógł kierować poczynaniami w tych dziedzinach.

Listy ze wsi

Jest dla nas niezmiernie radosnym, że chłopski pisarz dochodzi do głosu na łamach własnego organu literackiego.

W życiu naszego Państwa i Jego 75-procentowej większości obywatelskiej – wielomilionowych mas wiejskich jest to punkt bardzo doniosłej wagi.

Naszym naczelnym obowiązkiem, jakim winniśmy się obciążyć, obowiązkiem całej twórczej gromady wyrosłej i tkwiącej duchowo na chłopskiej niwie – to zacieśnienie więzów przyjaźni z naszą „Wsią" drogą współpracy, rzeczowej krytyki i rozpowszechnianie jej w terenie.

Wspólnymi, zorganizowanymi wysiłkami może raz na zawsze usuniemy tę „tragedię tworzenia", która bezkarnie, niby zmora, dusiła twórczą dynamikę ludu polskiego, od niepamiętnych czasów.

Henryk Syska
z lubelskiego

***

Zagadnienia Uniwersytetów Ludowych jako instytucji wychowawczych dla młodzieży wiejskiej, która w atmosferze działania zespołowego wzrastać ma w nich do miary pełnego człowieka i obywatela — są przedmiotem częstych dyskusji i artykułów.

Jedne z nich naświetlają sprawę poważnie i bezstronnie, inne wytwarzają nastrój nieprzyjazny dla wszelkich poczynań w tym kierunku. Trudno zaliczyć go do pierwszej grupy wypowiedzi artykuł St. Ignara „Czym mają być Uniwersytety Ludowe" („Wici" Nr 23).

Autor stwierdzając powolny rozwój Uniwersytetów mimo „różnorakich usiłowań" domaga się utworzenia Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych RP, „zrzeszających wszystkich, którzy rozumieją właściwy cel oraz mają coś do powiedzenia w tej sprawie. Instytucja taka będzie kompetentna w określeniu zadań uniwersytetów ludowych i w kwalifikowaniu pracowników i kierowników tychże placówek. Będzie ona rozstrzygała także o tym, jakiemu z uniwersytetów nadać imię Ignacego Solarza czy Jędrzeja Cierniaka".

„Przeważnie ludziom się zdaje — pisze Ignar — że gdy jakiś ośrodek pozostawiony z reformy rolnej nazwie się uniwersytetem ludowym im. Ignacego Solarza i jak w dodatku wewnątrz pałacu zawiesi się podobiznę Solarza, to już jest wzorowy uniwersytet ludowy".

Tak się złożyło, że w woj. łódzkim istnieje Uniwersytet Ludowy im. Ignacego Solarza. Placówka piękna i rokująca najlepsze rezultaty. Nie o to jednak chodzi.

Idea Uniwersytetów Ludowych jest wielka.

Stąd ten entuzjazm u ludzi może mało doświadczonych, lecz pełnych zapału, którzy w pierwszych dniach wolności szli do „pałaców" wieszać portrety Solarza i Cierniaka jako najwyższe symbole chłopskich myśli i uczuć, aby zapatrzona w nie młodzież wiejska mogła kształtować swoją duszę.

Szkoda, że ob. Ignar nie doradzał nam owej centralnej instytucji właśnie w okresie, gdy rozentuzjazmowani chłopi przyozdabiać chcieli ściany swojego uniwersytetu właśnie tymi a nie innymi portretami. Dzisiaj jego słowa wywołały w nas uczucie goryczy: bo może owa „kompetentna instytucja" stwierdzi, że nie byli oni „kompetentni", i poprosi nas byśmy się czymś innym zajęli? I czy nie sprzeciwia się tu ob. Ignar samorzutnemu chłopskiemu entuzjazmowi kulturalnemu? Nie widzimy na te pytania odpowiedzi w jego projekcie.

Sprawa organizacji Uniwersytetów Ludowych wciąż czeka jeszcze na ludzi dobrej woli i światłej myśli.

Wypowiedzi oczekujemy przede wszystkim od pisarzy ludowych, którym zagadnienia wychowawcze młodzieży wiejskiej są szczególnie bliskie.

Zdzisław Mroziewicz
Huta Dłutowska

MATERIAŁY W REDAKCJI

Kazimierz Truchanowski — nadesłał fragment z powieści pt. „Zmowa Demiurgów".

Teodor Goździkiewicz — nadesłał opowiadanie pt. „Prawda o Andrzeju Walczaku".

B. Balujski — nadesłał rękopis pt. „Obrazy z życia wsi".

Stanisław Witowski nadesłał fragment z powieści pt. „Uroki lata"

D. Wawrzykowska nadesłała dłuższe opowiadanie pt. „Matka".

WARUNKI PRENUMERATY:

Numer pojedyńczy	5 zł
Miesięcznie	18 zł
Kwartalnie (za 13 numerów	52 zł
Półrocznie (za 26 numerów)	95 zł

Wpłacać należy na adres: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Dział prenumerat, Łódź, Piotrkowska Nr 62 (z zaznaczeniem: „na tyg. „Wieś")

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.

KOMITET REDAKCYJNY TERENOWY: Śląsk — Kubisz Paweł, Podhale — Nedza-Kubiniec Stanisław, Krakowskie — Frasik Andrzej, Kieleckie — Piętak Stanisław, Lubelskie — Pokora Leon (ze „Wsi Tworzącej"), Warszawskie — Kubicki Marian, Łódzkie — Bojar Józef.

Redakcja: Łódź, Piotrkowska 96
Drukarnia: Łódź, Żwirki 2.
Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł.
w Spółdz. Wyd. „Czytelnik". D—04931